

Nr 3 (66)
2016



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE
PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W tym numerze: POŻEGNANIE MARKA GREWLINGA – O SZTUCE TŁMACZENIA: DOMINIKA CIEŚLA, KARL DEDECIOUS – NA WARSZTACIE GORZOWSKICH POETÓW: ADAM KORZENIOWSKI, ROMAN HABBAS, IRENA ZIELIŃSKA – WIERSZE POETÓW Z KRĘGU „POEZJI DZISIAJ”: ALEKSANDER NAWROCKI, BARBARA JURKOWSKA, ANNA CZACHOROWSKA – KRYSZYNA KAMIŃSKA I PIOTR STEBLIN O PREMIERZE „NEW YEAR'S DAY” W TEATRZE OSTERWY – PROZA ROMANA KARWACKIEGO I JERZEGO ALSKIEGO – RECENZJE NOWYCH KSIĄŻEK AUTORÓW GORZOWSKICH – ŁUCJI MARCZYK, MARIU BOROŃ, ALDONY ROBAK, GĄSIORA – CZESŁAW SOBKOWIAK: PROMOCJA KSIĄŻKI I JUBILEUSZE WŁADYSŁAWA ŁAZUKI – WIADOMOŚCI LITERACKIE: KRONIKA EWY RUTKOWSKIEJ, OSTATNIE POŻEGNANIA: ROMANY KASZCZYC, RYSZARDA ULICKIEGO, EUGENIUSZA WIECZORKA, ZBIGNIEWA BOCIANA I RYSZARDA FICE – HUMORESKI I GROTESKI oraz POEMAT SATYRYCZNY MARIANA HEMARA

Marek Grewling

ROZSTAJNE DROGI

Wiersz rozstajny
jak rozstajne drogi
nie bruki nie asfalty
ani autostrady
żeby można miękkim krokiem

Nie szuka figur piękna
już niepotrzebne
– zwykły piach
jedna na lewo druga na prawo

Po prostu rozstają się drogi
– z jednej
w dwie

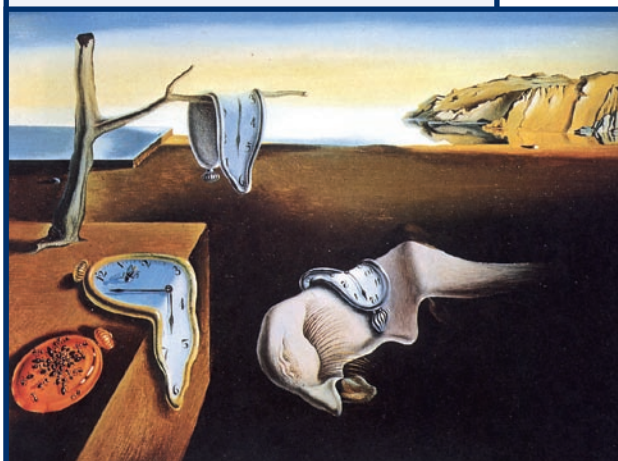
Na rozstaju tylko uschłe drzewo
– jabłoń bezowocna

Jerzy Alski

TRWAŁOŚĆ PAMIĘCI

Odszedł od nas Marek Grewling – Poeta niepośledniego formatu, twórca poruszającej poezji, autor wyszukanych komentarzy, przewrotny eseista, pełen wewnętrznych sprzeczności człowiek, z zawodu ksiądz. To ostatnie powtarzam za jego odpowiedzią na pytanie sformułowane w jednym z esejów, które od kilku lat niezmiennie publikował na łamach naszego pisma: „Kim z zawodu był Vivaldi?”. Vivaldi z zawodu był księdzem – jak Poeta, który odszedł. Przyjacieli nas wszystkich, przez wielu podziwiany. „Ze spokojem spoglądam w oczy otchłani” – napisał w jednym z wierszy. O ileż inaczej brzmią te słowa i jak inne jest ich znaczenie dzisiaj, kiedy Poeta coraz bardziej w te słowa wchodzi, coraz bardziej jest w nich obecny i nie tylko jako ten, który je wypowiedział – jako ten, który je przeżył i przekroczył. Powierzchnowe stwierdzenie, że poeta, odchodząc, pozostawił nam swoją poezję, nie jest prawdziwe. Poeta przeszedł do swojej poezji i teraz tam jest obecny – w wierszach już czystych, wolnych od wszystkich krępujących je łańcuchów, w trwałości pamięci – jak w pejzażu ze słynnego obrazu Salvadora Dali.

Gdyby usunąć trzy zegary, miękko zagarniane przez krajobraz, twarz leżącą na pochłaniającym ją zwolna piasku oraz ten czwarty, zamknięty obronnie repetier, zagryzany przez mrówki, wówczas obraz wyrażałby dokładnie tę refleksję, jaką sugeruje jego tytuł: „Trwałość pamięci”. Z Salvadora Dali pozostałby piasek plaży, odległe skały, morze po horyzont i od horyzontu nawisające niebo, po lewej stronie u dołu matowy obelisk, z którego wyrasta suchy pień drzewa i z niego jeden konar, za nim połyskująca metalicz-





JAK DOKOŃCZYĆ WIERSZ MARKA GREWLINGA

*już tylko tak: być kapłanem
kapłanem tak by te sutanny
wszystkie czyste dopasowane
wisały na wieszaku byle jak –
bez znaczenia*

Jerzy Hajduga

Już był zamknięty ten numer pisma, brak tylko było mojego wstępniaka na tej szpalcie, który zawsze piszę w ostatniej chwili, kiedy poczta mailowa przyniosła mi ten wiersz księdza Jurka. I znów otworzyło się piekło wzruszeń, żalu, pamięci, a także oskarżeń Pana Boga i ludzi w sutannach, będących pośrednikami Jego na tej ziemi. I oskarżeń siebie i nas – przyjaciół Marka, że nie potrafiliśmy zapobiec tej niezasłużonej śmierci. Widzieliśmy, jak gasł, i nie wiedzieliśmy, jak temu zapobiec. Tydzień wcześniej był u nas w domu i w naszych rozmowach nic nie wskazywało, że za kilka dni odejdzie od nas na zawsze. Omaliliśmy jego nową książkę, która miała się ukazać na Boże Narodzenie. W grudniu na promocji ostatniego numeru roku zawsze dzieliliśmy się z naszymi czytelnikami opłatkiem. Raz go przywoził z Drezdenka i celebrował Jurek Hajduga, innym razem Marek, wikary z Jakubowa, Babimostu, Sulęcina, Świebodzina i kilku innych lubuskich parafii, do których kierowała go administracja kościelna. Ale nie po to, by mógł na wyżyny swojego umysłu podnosić umysły miasteczkowych parafian, ale jakby za karę, że zjednywał sobie tam, gdzie służył Bogu i ludziom, pięknymi i mądrymi homiliami, wizytami u biednych i chorych, dojrzałych parafian, a młodzież pięknie prowadzonymi lekcjami religii i opieką nad rozwojem ich talentów twórczych. W Sulęcinie wraz z Joanną Ziemińską-Kurek doprowadził do ukazania się pięknie wydanej antologii młodych poetów z tamtejszego LO pt. „Smak na wiersz”, w Świebodzinie wraz z polonistką Barbarą Dominiak zorganizował w LO wojewódzki konkurs debiutów poetyckich. Na łamach „Pegaza” rekomendował wiele debiutów młodych autorów, a nas i naszych czytelników cieszył wysmakowanymi esejami z pogranicza literatury i filozofii, jakże często stawiając im pytania i problemy wyboru postaw wobec naszej doczesnej kondycji.

I taki człowiek żył wśród nas i wśród Was. Nas – twórców i czytelników „Pegaza” i Was, w jakiś sposób mu bliskich, którzyście być może Go nie zauważyli. Aż do pogrzebu. „Piękny był pogrzeb – ludzie płakali...” to tytuł kultowego filmu Zbigniewa Chmielewskiego – rok 1967. Była celebra dwóch biskupów, w tym przyjaciela ze studenckiego akademika, zjechali chyba wszyscy proboszczowie z całej lubuskiej diecezji, nie licząc wikarych, rezydentów, ale dodając oddanych mu, towarzyszących w ostatniej drodze nas i tych, którzy zdążyli Go poznać i pokochać.

Pisze Jurek Hajduga w cytowanym wierszu, że Jego dopasowane, czyste sutanny pewnie wiszą gdzieś na wieszaku, byle jak – dziś bez znaczenia. Ale ostały się po nim i długo żyć będą Jego wiersze, niewydana jeszcze powieść fantastyczna „Stół przegranych”, niewystawiony w teatrze dramat tragicomiczny „Bóg się nudzi”, jego eseje, które też zasługują na książkę. Jeszcze w tym roku w serii Biblioteki Pegaza ukaże się obszerny wybór wierszy Marka. W przyszłym roku będziemy zabiegać o środki na wydanie innych pozycji z Jego twórczego dorobku.

Ale co zrobimy z tymi sutannami? Może książka poeta Jerzy Hajduga wpadnie na jakiś pomysł...

Red. nacz. Ireneusz Krzysztof Szmidt

cd. ze str. 1

nie płyta zawieszona w bezruchu nad plażą. Układ i skonstrastowanie cieni zdają się sugerować wschód słońca – najbardziej nieuchwytną porę dnia – jeśli w ogóle którakolwiek jest uchwytna, w sensie uchwycenia przynależnego jej „teraz”, a nie oczekiwania na nią albo refleksji nad jej obrazem, który teraz, w innym „teraz”, jest już przecież odmienny. Ten obraz, jeśli usunąć z niego wymienione elementy, przedstawia zarejestrowane „teraz” pewnego pejzażu. Obecność obelisku i płyty nasuwa natychmiast pewne skojarzenia i być może Stanley Kubrick od tego obrazu właśnie wypożyczył czarny obelisk – niezmiennik istniejący w „Odysei kosmicznej” poprzez tysiąclecia, ale to tylko dygresja – świadectwo dążności do wyrażenia czasu jako pewnego absolutu. Tak zatem, oczyściwszy pejzaż z elementów surrealistycznych i wspomniany symboliczne, otrzymujemy utrwaloną na niewielkim kawałku płótna chwilę świata. Jej „teraz”, będące od zdarzenia się zawsze takim. Po co zatem stapiające się ze światem zegary, twarz przezeń pochłaniana i ten czwartki, pożerany przez mrówki?

Metoda, według której surrealiści tworzyli obrazy swej rzeczywistości, w zasadzie wyklucza dotarcie do zamysłu Dalego, natomiast sam obraz nie zabrania żadnej refleksji, a nawet do niej nakłania, i każda jest dopuszczalna – w tym właśnie tkwi niezwykła siła surrealizmu.

Problemem czasu w aspekcie dzieła literackiego – jego wewnętrznego „uczasowienia” zajmował się dogłębnie Paul Ricoeur, przeciwstawiając arystotelijskiemu czasowi – mierze ruchu, czas augustyński – miarę przeżycia, a oba zestawiając z czasem kosmicznym, zawierającym wszystkie zdarzenia takimi, jakimi one byłyby, gdyby odrzucić dwie pierwsze miary. Ricoeur dochodzi do wniosku, że dzieło literackie czerpie z czasu kosmicznego, zapełniając pierwotną pustkę dzieła obecnymi w owym czasie zdarzeniami, które twórca obdarza według swego uznania miarami czasu, czyniąc to na sposób boski – bowiem to twórca jest bogiem dla stwarzanego przez siebie dzieła.

Ale: obok wewnętrznego uczasowienia dzieło literackie istnieje przecież w czasie zewnętrznym, po wytworzeniu umieszczone tam przez artystę i ten czas – wszystkie rodzaje czasu, teraz zewnętrzne w stosunku do dzieła – w różny sposób wpływają na recepcję dzieła, na jego obraz w oczach odbiorców.

Dzieło literackie, jak każde dzieło sztuki, żyje w uwikłaniu rozmaitymi kontekstami, od kawiarnianych po akademickie. Kontekstualność utrudnia jego najpełniejsze, najgłębsze odczytanie, zarówno takie, które poszukuje czystej myśli twórcy, jak i takie, które rozgląda się za najcelniejszymi znaczeniami dla odbiorcy. Poszukiwania te stają się „czyste” wówczas, kiedy dzieło sztuki zyskuje pewną „czystość” – uwalnia się od kontekstów w możliwym do osiągnięcia stopniu. W języku popularnym mówi się o uzyskaniu przez dzieło ponadczasowości – co oznacza uzyskanie przez nie zdolności do wzbudzenia refleksji i inspiracji, uzyskanie przez nie swoistej podmiotowości – kiedy ono przestaje być rzeczą, a staje się bytem porównywalnym z bytem osobowym: staje się twórcą samym, a z pewnością jego częścią, wyodrębnioną do powiedzenia



TRWAŁOŚĆ PAMIĘCI

nia czegoś odbiorcy. Przycinanie kolejnych łańcuchów pętających dzieło jest jak proces narodzin – aż zjawia się ono przed nami jako wypowiedź uwolniona. Po-nadczasowa – uwolniona od czasu.

Augustyn pyta, czym jest czas. Owo coś, w czym przeszłość już nie istnieje, przyszłość jeszcze nie istnieje, a terażniejszość właśnie mija. W tej sentencji rozpoznać można trudność, jaką napotyka literackie dzieło sztuki, uwięzione w trybach czasu: miary zewnętrznego poruszenia, miary wewnętrznego przeżycia, a wreszcie czasu jako analogu kosmicznego trwania – czasu świata – czasu istniejącego nieustannie – czasu, w którym zawarte jest wszystko, cokolwiek było, jest i będzie. Tego czasu, z którego dzieło zostało przez twórcę zaczerpnięte jako nowe ustalenie porządku wśród elementów tam istniejących. Aby zaistnieć ponownie w czasie kosmicznym, należy dopuścić, aby mrówki pożarły repetier, należy roztopić zegary, należy pochłonąć twarz. Wówczas osiągnięta zostanie trwałość pamięci – trwanie dzieła, teraz zawieszony w przestrzeni niczym monolit z obrazu Salvadora Dali.

Oddzielając się od doraźnych, koniunkturalnych i relatywnych kontekstów, dzieło poetyckie rozpoczyna wędrówkę ku granicy, za którą miary czasu nie istnieją. Ani ta Arystoteles, ani ta Augustyna. Dzieła ich obu doznały zresztą owego dotknięcia czasu, które, odsuwając twórcę ostatecznie, bo wyprawiając go w drogę do czasu kosmicznego, pozostawia jego dzieła w stanie „czystym”, z przeciętymi definitywnie łańcuchami doraźnych związków i zależności.

Katullus, pełen sprzeczności arystokrata, poeta, członek Emiliańskiego Klubu Pływackiego, nieprzytomnie zakochany w pięknej, mądrej i niestałej Klaudii Metelli, za życia przelotnie ceniony i przelotnie komentowany i tyleż z racji swojej poezji, co z racji towarzyskich sensacji, wrócił po niemal dwóch tysiącach lat jako twórca śmiałej i pięknej poezji, z niedościgłym do dziś mistrzostwem oddającej emocje miłości, od ekstazy po cierpienie. „Quid est, Catulle? Quid moraris emori?” – pierwsza strofa jego nieco szyderczego wiersza, zapewne tworzonego pod wpływem chwili i pod wpływem tejże chwili przez jemu współczesnych odczytywanego, dzisiaj, uwolniona od kontekstu, odbierana może być jako wyszukany gest znużenia światem, w którym poeta, z chłodną odwagą ważąc na szalach miłośność świata i niewiadomą grozę, pyta siebie samego: „Cóż, Katullusie, może czas umierać?”

Odszedł od nas Poeta niepośledniego formatu. „Ze spokojem spoglądam w oczy otchłani” – napisał w jednym z wierszy. Przeszedł do swojej poezji i teraz tam jest obecny – w wierszach krystalicznie czystych, wolnych od wszystkich łańcuchów, w trwałości pamięci – pejzażu bez zegarów.

I nawet jeśli ze smutkiem, to nie żegnam Ciebie, Marku. Ja Ciebie witam.

Jerzy Alski



MAREK GREWLING

20 czerwca odszedł od nas przyjaciel, redaktor naszego pisma, poeta, eseista, prozaik, a także krytyk literacki.

Ur. 27 X 1963 roku w Gorzowie Wlkp. Z pierwszego wykształcenia był nauczycielem historii. Po ukończeniu

Wyższego Seminarium Duchownego w Paradyżu (był kolegą na roku bpa Tadeusza Lityńskiego i dzielił z nim celę studencką) i otrzymaniu tytułu magistra teologii biblijnej na Papieskim Fakultecie Teologicznym we Wrocławiu został duchownym-bibliistą. Po święceniach kapłańskich po prostu księdzem. Dożywotnym wikarym, wiecznym tułaczem po lubuskich parafiach...

Od lat osiemdziesiątych pisał wiersze, felietony, eseje, recenzje i artykuły. Debiutował w 1991 roku na łamach gorzowskich „Aspektów”. Publikował w „Arsenale Gorzowskim”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim”, „Poezji Dzisiaj”, „Pegazie Lubuskim”, „Pro Libris”, „Lamusie”, „Ziemi Gorzowskiej” oraz polonijnym „Dzienniku Nowojorskim”.

Napisał i wydał kilka książek poetyckich: „Przepraszam za ten pseudonim” (1994, z własnym projektem okładki i grafiką), „Do nieba nie trzeba się spieszyć” (2003), „...i wtedy przystąpił kusiciel” (2004), „Anachoreta w klasztorze mizantropii” (2008). Jego wiersze weszły do antologii „Strofy o Wielkopolsce” (2003) i „Wysłuchani w kamienie Gorzowa” (2008).

W 2003 roku został przyjęty do Związku Literatów Polskich i stał się jednym z członków założycieli gorzowskiego Oddziału ZLP. Przez dwie kadencje pełnił funkcję wiceprezesa jego zarządu. Na łamach „Pegaza Lubuskiego”, którego był stałym felietonistą, sukcesywnie rekomendował młodych, utalentowanych pisarzy i poetów. Omówienie krytyczne jego dorobku znajduje się na łamach wydanego w 2009 roku przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego opracowania „Pisarze w sutannach i habitach”, jak również w Almanachu Poetów i Pisarzy Gorzowskich (2014) wydanym w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego.

Redakcja
„Pegaza Lubuskiego”



MAREK GREWLING

Ahaswerus

Dzisiaj nie pamięta czy była noc czy ranek,
niewykluczone środek dnia

zresztą teraz to nie ma znaczenia po prostu
bardzo chciał uciec najdalej przekroczyć limes
Styks nie wchodził w grę – nie wierzył bowiem
że taka rzeka istnieje już przestał wierzyć w mity
więc szukał szarości przełamanej ciszą ukojenia

a wszystko po tym co zobaczył i po tym co zrobił
błąkał się więc ulicami miasta błagając przechodniów
„zabijcie mnie” odpowiadał mu tylko ich śmiech

nie potrafił wyraźnie powiedzieć swojego nazwiska
może był Wolframem von Richthofenem Arthurem
Harrisem lub też Curtisem Le May w tandemie
z Paulem Tibbets'em

nie widział ognia nie słyszał głosów
dym spowił jego mózg

zmożony grzechem padł na trotuar
powtarzając błaganie
pewnie dlatego ktoś go okradł
i z litości wezwał pogotowie

gest ekspiacji
niezbadane są wymiary humanizmu
– on to dobrze wiedział

a ona z pretensją domaga się podziwu
dla nowej sukienki
a ona stawia pytania o kolor paznokci
i słusność decyzji

od których nie zależy los Guernica y Luno w Baskonii
ani tym bardziej Drezna czy Hiroszima
zdziwiona zdawkową odpowiedzią rozłoszczona
rzuca słuchawką

jego oczy szukają limes – Styks nie wchodzi w grę
nie wierzy że taka rzeka istnieje
– przestał wierzyć w mity

nie potrafi nawet wypowiedzieć swojego nazwiska
ON
może von Richthofen może Harris albo Le May
z Tibbets'em

Abszwerus – Żyd-wieczny tułacz. Najdawniejsza legenda odnosi się do człowieka, który nie mógł stracić życia, ponieważ zgubił śmierć. Błądzi w nieskończoność, oglądając troski i radości innych ludzi, sam skazany na wieczną kontemplację w oczekiwaniu końca świata;

limes – (łac.) droga, droga graniczna, także granica, koniec.

POŻEGNANIE KSIĘDZA MARKA

Matka Genowefa wy-
modliła Go sobie, dłu-
go czekając na poczęcie.
A kiedy ono wreszcie się
stało, ofiarowała Go Bogu.
Ale On, syn pierworod-
ny, nie od razu Jej i Panu
Bogu się odwdzieczył,
choć swym życiem mło-
dym, pełnym uważności,
nierzadko przydawał swej
rodzinie splendoru. Uważ-
ność z wiekiem zamieniała
się w mądrość. Szukał jej
w historii i po nauczyciel-
skim dyplomie, uczył jej
dzieci w szkole wiejskiej

w Mościcach, a później szukał w Biblii, sam jej się ucząc
w Paradyżu i na Papieskim Fakultecie Teologicznym we
Wrocławiu. To już był świadomy wybór drogi życia. Został
księdzem. Spełnił matczyne ofiarowanie...

Kilka lat wcześniej zaczął szukać tej drogi w poezji i fi-
lozofii – a to już tylko krok, by zacząć bywać poetą. Trzeba
tylko znaleźć swoje „tworzywo liryczne”:

*Materiał literacki
Ależ to brzmi!
Doprawdy złom
A my panowie
Produkujemy taki właśnie złom słów
Wiedząc, że to nie jest piękne
Wiedząc też
Że jest prawdziwe
I zaraz konstatacja, że
Opowiedzieć świat
Można tylko wierszem.
Opowiedzieć świat
Można tylko
Wolnym krokiem
Słów...*

W tej poetyckiej młodości każdy poeta szuka ISTOTY
RZECZY. Marek napisał:

*Istoto rzeczy
Rzeczy są
A Ciebie nie da się nazwać
Czy może nosiłaś kiedy
Imię Bóg?
Bo to by wiele
Wyjaśniło...*

I tu Go znalazł, a może dopiero przeczuł? I pewnie już
wtedy przeczuł swoją śmierć... Zaraz na początku debiutan-
ckiej książki „Przepraszam za ten pseudonim” napisał:

*Śmierć
Tak to będzie
O, będzie, będzie
Oczywiście bez konkursów
Licytacji
Po prostu*



REQUIEM DLA POETY

*Zamiana czasu
Na bezczas
Kresu
Na wieczność...*

Każdy młody poeta tworzy swoją definicję śmierci. Czasem sam się jej przedwcześnie dla poetyckiej legendy-sławy oddaje...

Ksiądz Marek nie dbał o sławę i legendę. Całym sobą oddał się Bogu. Ponad ćwierć wieku pracował dla niego, przybliżając nam jego LUDZKĄ TWARZ, na której podobieństwo przecież człowieka uczynił. Przybliżał ją w pięknie skonstruowanych i wypowiedzianych homiliach, w kazaniach rekolekcyjnych dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w artykułach w pismach „Aspekty” i „Niedziela”, w „Bajeczkach z niebieskiej książeczki” i „Świętych z niebieskiej książeczki” chętnie czytanych przez dzieci i ich rodziców. Przez ostatnie 13 lat „ewangelizował” intelektualnie środowisko kultury i literatury, rozprawiając na łamach gorzowskiego czasopisma literackiego, w arcyciekawych i mądrych esejach o kwestiach etyki w życiu, kulturze i polityce, na przykładach dzieł polskiej i obcej literatury. I w dobrych, wysoko cenionych przez krytykę, wierszach. W systematycznie wydawanych zbiorach wierszy, m.in. „Do nieba nie trzeba się spieszyć”, „...i wtedy przystąpił kusiciel”, „Anachoreta w klasztorze mizantropii”. Jeszcze w tym roku ukaze się wybór najcenniejszych jego utworów nakładem Biblioteki Literackiej Pegaza Lubuskiego.

Tak wielkiego kapłana-humanisty, pięknego człowieka, wszechstronnie utalentowanego poety i eseisty, przyjaciela ludzi biednych, twórczego, najukochańszego syna swoich rodziców, który zmarł na rękach matki oddającej Go z bólem w ofierze Panu Bogu, którego w dniu pogrzebu ojciec przyjął do swojego grobu, nie wydała chyba dotąd Ziemia Lubuska. Umarł na skutek ciężkiej choroby, wywołanej stresem niestabilności zawodowej, nieustannych przymusowych „przeprowadzek” z parafii do parafii, z Gorzowa do Sulęcina, z Sulęcina do Jakubowa, z Jakubowa do Świebodzina, stamtąd do Babimostu i znów do Gorzowa... Nie wszystkie podróże wikarego Marka wymieniłem. Było ich jedenaście... Nie na taką podróż do nieba sobie zasłużył. Czy tak doświadczał Go Bóg? Czy ludzie?... Pozostawił poetycki testament:

*Pora napisać testament
żadnych obrachunków
żeby było jasne
co zostawiam komu
Dobroczynicy niech wiedzą
że przejrzałem ich zamiary
i wiem jak sobie świadczyli
podpisując się moim imieniem
Którzy kochali, sami wiedzą
im niczym nie zapłacę
nie mam tyle
Sobie na pożegnanie – i tak jestem dumny.*

Marku, ja i wszyscy poeci i pisarze gorzowscy, Twoi czytelnicy i całe środowisko kultury skupione wokół „Pegaza Lubuskiego”, ZLP i WiMBP im. Zb. Herberta też jesteśmy dumni, że byłeś wśród nas, że mogliśmy Cię czytać, słuchać Ciebie na promocjach naszych książek. Żegnamy Cię, mając nadzieję, że po drodze do nieba na niebieskich łąkach Parnasu osiodłasz Pegaza, który poniesie Cię na skrzydłach aż do furty świętego Piotra.

Ireneusz Krzysztof Szmidt

„Tego nie robi się kotu...”

Tytuł do tego krótkiego wspomnienia o Tobie, Marku, zaczerpnęłam od Szymborskiej, choć mi do Ciebie jak i do Niej – oj, lata świetne – a więc bardzo daleko. Marku, czemu odszedłeś??? Tego się nie robi... i tu po irenejsku napiszę – *kotowi*, takiemu biednemu jak ja. Nie odchodzi się tak po cichu na żaglach obudzonej wrażliwości i wiary w Piękno Człowieka, nie rozplywa się tak nagle jak we mgle. Tak nie można. Marku, nie zostawia się kota z miseczką mleka niedopełnioną...

Wybacz mi, Marku, że zaczęłam trochę ksobnie...

I tu do czytelników celem wyjaśnienia...

Marka Grewlinga, choć od zawsze pisał w „Pegazie Lubuskim”, poznałam stosunkowo niedawno. Wiedziałam, że jest księdzem, i to onieśmiało mnie w zawarciu głębszej znajomości. Bałam się też – indoktrynacji... choć Jego artykuły i liczne eseje nie robiły mi prania szarych komórek. Wręcz przeciwnie, moje myśli wynajmowały owe komórki do spoglądania szerzej w głąb człowieczeństwa i do spozierania w stronę ideału, takiego niezależnego od wiary w Boga i od moich własnych poglądów. Ale jeszcze wtedy, gdy czytałam Markowe eseje, byłam daleko od Niego. Był za mądry dla mnie. Bałam się Marka, powiem to szczerze, choć zawsze pragnęłam intelektualnego choćby starcia się z Nim... Jednak bałam się kolejnego odrzucenia. Tak, zwykle jestem odrzucana przez ludzi. Jestem taka – nie na ich miarę... A tu bęc, na spotkaniu „pegazowym” Marek rozmawiał ze mną jak równy z równym – przyjął mnie z całym dobrodziejstwem inwentarza. Później były kolejne dyskursy, niekoniecznie o literaturze, aż posłałam mu wiersze, ułożone w tomik. Posłałam mu „Córkę Wiatrów” i nawet te wiersze, które były jak niewierne tomasze, czyli tzw. przeze mnie tomaszówki: pytały o sens życia, o predestynację w losie, i te, które nawet oskarżały Boga o wojny, o ataki terrorystyczne. Te – które mówiły, że Stwórca głuźnie na zło tego świata i na ból i samotność człowieka, w tym – ano właśnie – źle ułożonym świecie. Myślę, że to doświadczenie przez Marka mojej poezji, jak i mojego życia, było dla Niego trudne... Emocjonalnie. A jednak słuchał mnie bardzo uważnie.

Wybacz mi więc, Marku, te chwile rozterek, które sprawiłam Tobie, bo przecież wybaczyłeś mi całokształt. Napisałeś: „Wiersze są piękne. Irena, musisz je wydać, bo są potrzebne światu, nie tylko jako literatura, ale jako fakt”. „Dlaczego one są takie samotne?” – zapytałeś, choć Twoje w cudzysłowie „chore oczy” widziały więcej i głębiej... Oj, odpowiedziałam: „Ludzie szczęśliwi wierszy nie piszą...”. Skinąłeś głową.

Marek, byłeś taki prosty i piękny w kontaktach osobistych i tak czysty, że człowiek, rozmawiając z Tobą, choćby nie chciał, musiał dążyć do ideału. Czemu odszedłeś? Marku, tego nie robi się *kotowi*, który miaucząc, liże głodną miseczkę Twojej Mądrej Dobroci. Liże i płacze...

Marku, znałam Ciebie tak krótko, a byłeś Przyjacielem i nadal jesteś i będziesz Nim – ZAWSZE!

Irena Zielińska

Gorzowianka, córka znanych dziennikarzy Jolanty i Stefana Cieślów, autorka kilkudziesięciu przekładów książek z języka angielskiego z dziedziny literatury faktu, humanistyki i literatury pięknej. Jest doświadczoną redaktorką książek i koordynatorką procesu wydawniczego, a także pełni funkcję sekretarza zarządu Stowarzyszenia Tłumaczy Literackich w Warszawie.



TEKST, KOMPUTER I KOT NA KOLANACH

Rozmowa Krystyny Kamińskiej z Dominiką Cieśłą-Szymańską

– Czy kiedy kończyłaś I Liceum Ogólnokształcące przy ul. Puszkina w Gorzowie i ruszałaś na studia do Warszawy, już wiedziałaś, że będziesz tłumaczka literatury pięknej?

– Nie, wtedy zupełnie nie przychodziło mi to do głowy. Bardzo długo nie wiedziałam, co chcę robić – być nauczycielką, dziennikarką, a może antropologiem kultury? Moje studia – a były to Międzywydziałowe Interdyscyplinarne Studia Humanistyczne na UW – wcale nie ułatwiały mi decyzji, bo dzięki nim poznawałam kolejne ciekawe dziedziny i możliwości. Zaraz po studiach pracowałam jako dziennikarka w serwisie internetowym, a potem jako redaktor prowadząca w wydawnictwie. Tłumaczką zostałam po drodze.

– Jakie były etapy przygotowywania się do tej pracy?

– Podczas studiów mogłam chodzić na niektóre zajęcia na wydziale anglistyki, poza tym intensywnie uczyłam się angielskiego na kursach, czytałam prasę i literaturę. Bardzo ważnym doświadczeniem był dla mnie udział w translatorium antropologicznym prowadzonym w ówczesnej Katedrze Kultury UW. To były fascynujące zajęcia, na których próbowaliśmy tłumaczyć teksty naukowe i czasem godzinami dyskutowaliśmy nad jednym zdaniem. Bardzo pomogły mi też zajęcia językoznawcze w ramach polonistyki, zwłaszcza te dotyczące semantyki. To dało mi dobry warsztat analityczny. Ale z pewnością nie mam takich kompetencji ani takiej wiedzy o literaturze anglosaskiej, jak moi koledzy angiści.

– Który język tłumacz powinien znać lepiej: ten z którego tłumaczy, czy na który?

– Przede wszystkim język docelowy, ten, na który tłumaczy. O tym się często zapomina, studenci filologii obcych czasem przez całe studia nie mają do czynienia z polszczyzną. Oczywiście czuję się pewniej na gruncie polszczyzny, mimo wszystkich jej pułapek i zmienności. Od lat 90. język polski zmienia się intensywnie, tak że nie nadążają za tym słowniki ani literatura poprawnościowa. A tłumacz i redaktor musi sobie jakoś radzić. Angielskiego uczę się mimochodem, każdy tekst, który tłumaczę, to jakieś nowe zjawiska i słowa, których jeszcze nie znam.

– Przetłumaczyłaś już ponad 30 książek. Praca nad którą z nich była dla Ciebie najciekawsza?

– Chyba najdziwniejsza pod względem translatorskim była opowieść autystycznego japońskiego chłopca, który komunikuje się za pomocą komputera. Potrójna, a może i poczwórna bariera – autyzmu, metody komunikacji, japońskiego i angielskiego – była niemal namacalna. A jednocześnie pod tym wszystkim wyczuwało się niezwykłą, bogatą i ujmującą osobowość. Zwykle tworzę sobie w głowie jakąś wizję autora/narratora, słyszę jego głos. Tym razem było mi bardzo trudno go usłyszeć i nie jestem pewna, co właściwie udało się uzyskać i czy w ogóle powinnam była się tego podejmować. Ale to było wyjątkowe świadectwo i mam nadzieję, że nawet takie echo warto było przekazać.

– Którą z przetłumaczonych książek polecasz do przeczytania?

– Gdyby wszyscy przeczytali *Mądrość i cuda świata roślin* Jane Godall i wzięli sobie do serca to, co mówi, ludzkość miałaby szansę przetrwać. Mówię zupełnie serio. A z rzeczy bardziej rozrywkowych młodszemu czytelnikom poleciłabym *Nadnaturalistę* Eoina Colferra. Świetnie się przy niej bawiłam, wymyślając różne neologizmy. Starszym – znakomitą i zabawną biografię Karola Marksa Francisca Wheena. Poleciłabym też *Strażnika trumny* Wenguanga Huanga, wspomnienia chińsko-amerykańskiego dziennikarza z jego dzieciństwa w Chinach lat 70. i 80. Musiałam tam przełożyć, przefiltrowaną przez angielski, rzeczywistość chińskiego komunizmu (miejscami bardzo bliską polskiej rzeczywistości tamtych lat) z powrotem na polski system pojęć związanych z gospodarką socjalistyczną, ówczesnym życiem społecznym, reżimem totalitarnym i tak dalej. Myślę, że mi się to udało, może dlatego, że sama pamiętam tamte czasy.

– Czy propozycję tłumaczenia książki dostajesz z wydawnictwa czy sama wskazujesz wydawnictwu interesujące cię książki?

– W przypadku literatury anglosaskiej trudno jest zaproponować wydawcy coś atrakcyjnego, czego by już sam nie znalazł. Wydawcy mają swój system wyszukiwania, agencje literackie, swoich zwiadowców i recenzentów. Więc rzadko próbuję coś sugerować, a raczej dostaję propozycje, które mogą przyjąć albo nie. Wydawcy, z którymi stale współpracuję, znają już moje upodobania i kompetencje.

– Porozmawiajmy teraz o szarym dniu tłumacza: Jaki masz system pracy? Pracujesz w dzień czy w nocy?

– Zdecydowanie pracuję w ciągu dnia, ale czas pracy dzielę na kilka kawałków. Nigdy nie pracuję w nocy. Najlepiej tłumacz mi się na laptopie odłączonym od sieci, tylko ze słownikami. Nie lubię za długo siedzieć, więc wolę pracować krócej, a za to intensywnie. Do redagowania, szukania informacji i życia towarzyskiego używam peceta.

– Skąd czerpiesz informacje, gdy nie radzisz sobie z tekstem?

– Na początku z różnych źródeł internetowych. Bardziej szczegółowych informacji szukam w publikacjach z danej dziedziny (tuż za rogiem mam dobrą czytelnię naukową) albo u ekspertów. Fachowcy, hobbyści i inni wariaci bywają po prostu bezcenni. Zdarzało mi się już zasięgać konsultacji u parolotniarza, miłośnika roślin owadożernych, specjalistki od staropolszczyzny oraz dmuchacza szkła. Przy problemach typu start rakiety, pojedynki w maszynowni statku albo budowa amatorskiej katapulty pomaga mi mąż inżynier. Bardzo przydaje się też *Mądrość Zbiorowa* facebookowego Forum Tłumaczy Literatury i wszelkie znajomości.

– Co daje Ci energię do pracy?

– Różne rzeczy. Rano kawa. Potem tlen i widok na zielen. Współpraca z innymi. Ciekawość. Siła rozpędu. Flow. Dedlajn.

– Jakie istoty Cię w niej wspierają?

– Wspiera mnie kotka Mańka, która w odpowiednim momencie przychodzi i trąca mnie w łokieć. To jest znak, że powinnam przestać gapić się w ekran i zająć się poważniejszymi sprawami. Druga istota to wspomniana już wielogłowa *Mądrość Zbiorowa*, a częściej Dowcip Zbiorowy Forum Tłumaczy Literatury.

– Najprzyjemniejsze momenty w tłumaczeniu?

– Ach, sekretne przyjemności tłumacza. Lubię redagować własny tekst, spokojnie szukać rozwiązań, widzieć, jak materiał zaczyna mi się układać w rękach. Lubię zabawy językowe, neologizmy, metafory, rymowanki, które czasem cyzeluje się wiele dni. Ostatnio z dużą przyjemnością wytwarzałam rymy częstochowskie, tłumacząc wierszowany występ trupy angielskich komediantów wielkanocnych. Oczywiście lubię, kiedy przychodzą egzemplarze autorskie. I bardzo się cieszę, kiedy ktoś w metrze czyta właśnie mój przekład.

– A najmniej przyjemne?

– Nic oryginalnego. Opracowywanie przypisów i bibliografii. Tłumaczenie podziękowań. Akceptowanie niedobrej redakcji. Windykacja należności.

– Jesteś również redaktorką książek. Czy to nie ciekawsza praca niż tłumaczenie?

– Redagowanie wymaga dużych, różnorodnych i zazwyczaj zupełnie niedocenianych umiejętności. Ciągłe aktualizowanie wiedzy, zdolności analitycznych, doświadczenia, cierpliwości i zdecydowania, a czasem sporej śmiałości, ale też elastyczności i empatii. Balansowania między dwoma językami, między normą a uzusem, między dyscypliną a twórczą swobodą, wreszcie między własnym ego i nawykami a ego tłumacza czy pisarza. Redaktor jest trochę inspektorem budowlanym, a trochę psychoterapeutą. Musi zauważyć dziurę w ścianie, zły odcień tapet i sterzącą sprężynę, i jeszcze wiedzieć, kiedy nie powinien jej ruszać, bo właśnie ma tak sterzeć. A potem przekonać tłumacza do swoich pomysłów, skupiając się na problemie, a nie na tym, kto tu jest zdolniejszy i mądrzejszy. Powinien iść o krok za tłumaczem, być wrażliwym i samokrytycznym doradcą. Musi dbać jednocześnie o interesy autora, tłumacza, czytelnika – i o własne. To jest trudne i nie zawsze się udaje. Ale wciąż próbuję.

– Co powiedziałałyby tłumaczom?

– Wszystkim – żeby czytali umowy przed podpisaniem i nie bali się negocjować. Młodszym – żeby jak najwięcej czytali dobrą polską literaturę i pisali pełnymi zdaniami. Starszym – żeby nie bali się słowników i źródeł online oraz Facebooka.

– Co powiedziałałyby polskim władzom w sprawie książki?

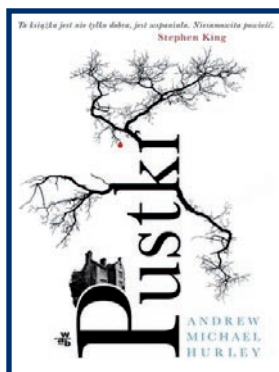
– Ministrowi edukacji powiedziałabym, że uczeń powinien wychodzić ze szkoły z przekonaniem, że czytanie to jedna z najlepszych rozrywek i naturalny element życia codziennego. Międzypokoleniowy przekaz nawyków czytelniczych jest w Polsce za słaby albo w ogóle go nie ma – więc rola szkoły jest ogromna.

Ministrowi pracy i polityki społecznej – że bardzo by nam się przydał system ubezpieczeń dla twórców, na wzór na przykład niemieckiej kasy artystów. W tej chwili wielu twórców, również tłumaczy, pozostaje całkowicie poza systemem, nie ma prawa do opieki zdrowotnej ani do emerytury.

Ministrowi kultury – że bez odbudowania w całym kraju sieci kameralnych księgarni czytelnictwo nie wzrośnie i rynek książki nie będzie się rozwijał. To świetnie, że wspiera się biblioteki, ale również księgarnia powinna być naturalnym elementem miejskiego krajobrazu, tak samo jak piekarnia i apteka. Przypomniałabym też, że w całym systemie kultury twórcy są zawsze najbardziej bezbronnym elementem i należy ich wspierać. Nie tylko najbardziej uznanych artystów, ale również tych początkujących i tych kończących karierę oraz rzesze rzemieślników kultury, którzy tworzą większość jej rynku. Byłoby świetnie, gdyby powstał system stypendiów dla tłumaczy literackich i gdyby na przykład w warunkach przyznania ministerialnych dotacji na wydanie książki zawarto również warunki umowy, jaką wydawca powinien zawrzeć z tłumaczem.

– Co teraz tłumaczysz, przetłumaczyłaś albo właśnie ukazało się w Twoim przekładzie?

– Pod koniec lata ukazała się mroczna i klimatyczna powieść Andrew Hurleya *Pustki*. Spędziłam z nią dwa miesiące na smagany wiatrem, ponurym wybrzeżu Lancashire, ale było warto i mam nadzieję, że czytelnicy to docenią. Niedawno skończyłam pra-



cować nad ciekawą, ale trudną biografią Le Corbusiera i już nie mogę się doczekać współpracy z moim konsultantem od architektury. A teraz tłumaczę powieść obyczajową, której akcja rozgrywa się w powojennej Szwajcarii.

– Ważne dla Ciebie książki?

– *Język, myśl i rzeczywistość* Benjamin Lee Whorfa. *Lektury nadobowiązkowe* Wisławy Szymborskiej. *Fioletowa krowa* Barańczaka. *Polszczyzna na co dzień*. Być może to choroba zawodowa, ale literatura piękna jest dla mnie ostatnio mniej ważna. Mam poczucie, że jest jej za dużo, rynek nowości jest przeładowany i chaotyczny. Przy łóżku mam zwykle kilka napoczętych książek, ale więcej literatury faktu niż prozy. Ostatnio czytałam *Miasto szczęśliwe* Charlesa Montgomery'ego o pomysłach na nowoczesną urbanistykę i o tym, dlaczego miasto powinno być dla pieszych, a nie dla samochodów – bardzo krzepiąca lektura. Teraz ostrzę sobie zęby na najnowszą książkę Filipa Springera.

– Co robisz dla relaksu?

– Redukuję bodźce. Lubię czasem zupełnie zniknąć z radaru, nie odbieram maili ani telefonu. Wymóg stałej dostępności i bycia na bieżąco uważam za niehumanitarny. Człowiek pracuje całym ciałem, więc staram się ruszać – teraz najchętniej wsiadam na rower i jadę do lasu albo nad Wisłę. Poza tym bardzo ważna jest dla mnie muzyka, ostatnio może nawet ważniejsza niż literatura. Dużo słucham i odkrywam, chodzę na koncerty, przez pewien czas zajmowałam się śpiewem białym głosem, od kilku lat śpiewam w chórze. Pomagam też czasem przy organizacji rajdów pojazdów zabytkowych i bywam pilotem rajdowym. No i od samego początku działam w Stowarzyszeniu Tłumaczy Literatury. Bardzo lubię wymyślać i wspólnie tworzyć coś nowego, mam też paszczacki zapal o organizowania i koordynowania, na szczęście chyba równoważony przez inne, zupełnie niepaszczackie instynkty. Lubię zajmować się wieloma różnymi sprawami, mieć kontakt z różnymi ludźmi i szukać równowagi między ciałem a duchem oraz między własnym introwertyzmem a ekstrawertyzmem.

– Praca tłumacza należy do najbardziej samotniczych zajęć. Czy masz z niej satysfakcję?

– Tłumacz spędza dużo czasu tylko z tekstem, komputerem, słownikiem i ewentualnie kotem na kolanach. Ale wcale nie musi to oznaczać samotniczego życia. Poza tym każda książka to spotkanie z nowymi postaciami i całkiem innym światem, nowe problemy i nowe wyzwania. A potem jest jeszcze satysfakcja, kiedy przychodzą egzemplarze autorskie albo kiedy w prasie pojawia się recenzja. Mam naprawdę przyjemną pracę.

Od redakcji: Powyższy wywiad jest zmodyfikowaną wersją wywiadu z Dominiką Cieślą-Szymańską, który ukazał się na stronie internetowej Stowarzyszenia Tłumaczy Literackich, www.stl.org.pl



KARL DEDECIOUS – przyjaciel polskiej literatury nie żyje...

26 lutego 2016 r. we Frankfurcie nad Menem zmarł Karl Dedecius, znakomity tłumacz literatury polskiej na język niemiecki. W Collegium Polonicum w Słubicach mieści się Archiwum Karla Dedeciusa, a w nim cały dorobek naukowy translatora, który jest cennym źródłem badawczym nad przekładem literackim.

Szef Fundacji im. Roberta Boscha Joachim Rogall wspomina: „Poznałem go, jako niezwykle charyzmatycznego człowieka. Jak tylko Dedecius zaczynał mówić, fascynował wszystkich bez wyjątku”. Jeden z najbliższych współpracowników Dedeciusa w Niemieckim Instytucie Kultury Polskiej w Darmstadt, Manfred Mack, potwierdza: „Kiedy zostałem pracownikiem utworzonego przez Dedeciusa instytutu, zmieniło to moje życie. Karl Dedecius fascynował nas wszystkich jako tłumacz i jako szef. Był genialnym organizatorem. Potrafił swoje pomysły wcielić w życie, pozyskując ludzi swoim niezwykłym czarem osobistym”.

Często dyskusja, w której tłumacz uczestniczył, przekształcała się w jego monolog, a powodowane było tą właśnie fascynacją i szacunkiem wobec tego człowieka. Chciano go słuchać, wynieść ze spotkania jak najwięcej wspomnień, anegdot, faktów historycznych, wskazówek, które orator prezentował.

Zaszczytu poznania i uściśnięcia dłoni Karla Dedeciusa dostąpiłam kilka lat temu, przy okazji obchodów jubileuszu jego 90. urodzin, zorganizowanych w Collegium Polonicum. Dwudniowe uroczystości obfitowały w liczne spotkania, jak wieczór autorski w auli uniwersytetu, podczas którego odczytywał swoje tłumaczenia wierszy znanych poetów. Nie zabrakło wówczas także spotkań w Archiwum jego imienia, gdzie tłumacz lubił wracać do swoich maszynopisów, listów, pamiętek. Przeglądał je, komentował, często żartował. Szczególnie mocno w pamięci utkwił zebrany moment, gdy pośród wertowanych teczek odnalazł swoją fotografię wykonaną w dniu egzaminu maturalnego w 1939 roku. Na twarzy 90-letniego wówczas człowieka widać było wzruszenie. Opowiedział wtedy o swoim pierwszym męskim kapeluszu, który otrzymał od ojca za zdobycie świadectwa dojrzałości.

Ostatnia wizyta tłumacza z Łodzi w Słubicach i we Frankfurcie nad Odrą miała miejsce w listopadzie 2013 roku, przy okazji powołania Fundacji Archiwum Literackie Karla Dedeciusa. Odwiedził wtedy wystawę muzealną noszącą tytuł „Karl Dedecius i inni tłumacze literaccy”. Zwiedzanie ekspozycji nabrało specyficznego wymiaru, gdy jej główny bohater był obecny podczas oprowadzania. Każda witryna zyskała tło w postaci osobistego komentarza pełnego ciekawostek związanych z zaprezentowanymi eksponatami.

Marta Potaszkiewicz

Archiwum Karla Dedeciusa, Słubice
fot. Adam Czernerko

Wybrane fragmenty książki Karla Dedeciusa pt. „Sztuka tłumaczenia” wydanej na zamówienie Collegium Polonicum w czterech językach (niemieckim, polskim, francuskim i angielskim) przez gorzowskie Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał” w roku 2001.

Zacznijmy od symbolu w tytule: tłumacz, czyli ten, który stawia mosty.

Wszyscy jesteśmy tłumaczami. Nawet gdy nie tłumaczymy książek, lecz przemawiamy, wygłaszamy sądy, załatwiamy interesy, tworzymy ustawy – jesteśmy tłumaczami. Dlatego że nasze myśli tłumaczymy na słowa, a te przekładamy na pojęcia zrozumiałe dla odbiorcy.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której nie ma tych czy innych tłumaczeń i nie ma tłumaczy. Europa, świat, byłyby wówczas potężną, pełną nieporozumienia wieżą Babel. Koszmar. Wszyscy gadaliby i nikt by nikogo nie rozumiał. A wiemy przecież z historii, że brak zrozumienia zwykle prowadzi do katastrof. Świeże jeszcze doświadczenie ostatnich wojen pokazuje, jak ważne są mosty porozumienia. Most powietrzny w Berlinie, most w Mostarze łączący chrześcijan z muzułmanami, czy otwarty dla wymiany jeńców między Wschodem a Zachodem most w Glińnicke. Mosty wszelkiego rodzaju i mosty wszędzie. Oto właśnie most jest symbolem, który ma nam unaocznic rolę tłumacza.

Starożytność klasyczna nazwała kapłana, pośredniczącego między bogami a ludźmi, między niebem a ziemią, „pontifex” – „budujący mosty”. Najwyższy kapłan to pontifex maximus, zaś Horacy w „Ars Poetica” mianuje poetę „interpres deorum” – interpretatorem bogów, tłumaczem bogów, pośrednikiem między światem wiedzy, światem wiary i światem fantazji.

Kapłani byli i nadal są powołani do stawiania werbykalnych mostów między Bogiem a wiernymi. Natomiast ci nieświęci budownicowie mostów – jako metafora dla tłumaczy – są ziemskimi pośrednikami między ludźmi i narodami, ich językami i kulturą. Ich horyzontalne mosty mają prowadzić od zrozumienia do porozumienia.

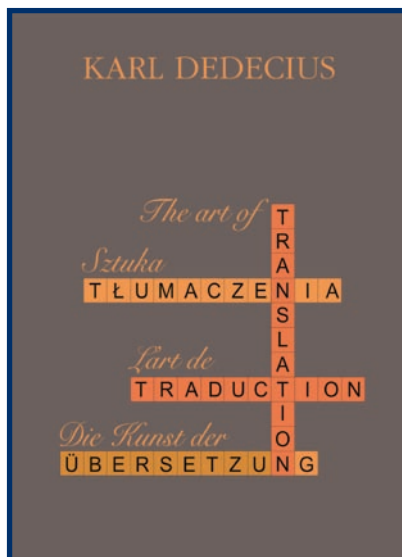
Język, czyli materiał, z którego my, tłumacze, budujemy nasze mosty, jest po prostu środkiem porozumiewania się. I tam, gdzie prowadzi on do nieporozumień, służy nadużyciom.

(...) Tłumaczenie dzieł humanistycznych czy beletrystycznych jest dla narodów tym, czym dla pojedynczego organizmu ludzkiego przemiana materii albo krwioobieg. Chodzi o to, by pokarm nie zalegał, a krew nie była tamowana, w przeciwnym wypadku dochodzi do chorób i zakrzepów. Krew musi bez przeszkód krążyć po naczyniach krwionośnych, aż po cebulki włosów i czubki palców u nóg. Tłumacze transformują i transportują, nadają kształt i przekazują; a bez przekształcenia i przełożenia nie ma życia, o czym dobrze wiedzą biolodzy.

Tłumaczenie od człowieka do człowieka, z narodu do narodu, z kraju do kraju, te spotkania z ciekawymi Nieznanymi, którzy stają się najbliższymi przyjaciółmi, to nieustanne wzbogacanie własnych odkryć i doświadczeń poprzez cudze odkrycia i doświadczenia jest wspaniałą przygodą, bez której ja na przykład nigdy nie mogłem się obejść i z której nigdy nie chciałem zrezygnować, choć przez całe życie musiałem zawodowo zajmować się czym innym, więc tłumaczyć mogłem tylko w wolnym czasie. Wiem dobrze, dlaczego tłumacze, mimo trudnych warunków materialnych, pomimo mąk i utrapień, wciąż się tym zajmują, co jest dość często wykorzystywane i nadużywane przez zleceniodawców. My, tłumacze, jesteśmy opętani, niemal fanatyczni, zakochani, nie potrafimy się obejść bez obiektu na-

szych uczuć, choć nierzadko kosztuje nas to wiele bólu i rozczarowań.

Bez mostów nie ma porozumienia, a bez porozumienia nie ma pojednania. Jakie to proste. Kto mówi o porozumieniu, musi wiedzieć, że wymaga ono zrozumienia i że zrozumienie stanowi najszlachetniejszą funkcję rozumu. Gdyby nasi politycy, ci kompetentni i odpowiedzialni, czytali nieco uważniej nasze przekłady z literatury rosyjskiej, polskiej, czeskiej, serbsko-chorwackiej, ich znajomość tych krajów byłaby wnikliwsza, a na konflikty w Europie Wschodniej reagowałiby w porę i z większą znajomością rzeczy. Bo to nie jest tak, że z tych krajów, z ich publikacji nie nadchodziły sygnały, ostrzegawcze wołania, które my oczywiście przetłumaczyliśmy. Ale zadowolano się tylko oficjalnymi doniesieniami, a te nie zawsze okazywały się niezawodne, często wprowadzały w błąd.



(...) Nie zapominajmy: kiedy robimy coś dla języków obcych, robimy to też przede wszystkim dla naszego własnego języka. Śmiem twierdzić, że język niemiecki i literatura niemiecka sporą część swojego bogactwa czerpie z wielojęzyczności swoich autorów, gdyż ich pisanie jest jednocześnie i myśleniem w wielu językach i światach; nasze przestrzenie słów, cegiełki zdań, konstrukcje budowlane mowy stają się bardziej różnorodne, a różnorodność jest bogactwem – tylko nierozważana i nieuporządkowana staje się chaosem.

Na dokładniejsze badania zasługuje kwestia, ile język Grassa zawdzięcza kaszubskiemu, ile język Siegfrieda Lenza i Bobrowskiego pruskiemu, ile ten Bienka śląskiemu, a język Celana rumuńskiemu, rosyjskiemu i Talmudowi. Na dyplomie Niemieckiej Akademii Języka i Poezji wręczonemu Celanowi w 1958 r. z okazji przyznania nagrody Georga Büchnera było napisane: „Jego przekłady francuskiej i rosyjskiej liryki nadały niemieckiej poezji nową wrażliwość”.

Bądźmy sprawiedliwi: to, że na przykład w Polsce i w Niemczech tyle się tłumaczy i tyle jest dobrze przetłumaczonej literatury, może wynikać z tego, że tu, jak i tam tłumaczenie zawsze traktowano poważnie, ceniono, nierzadko czczono i czci się nadal.

Na początku XX wieku, kiedy językowi polskiemu groziło skarłowacenie do sztucznego języka frazesu, praca tłumacza Tadeusza Boya-Żeleńskiego, krakowskiego lekarza dworcowego, doprowadziła do odnowienia jego mowy ojczystej. Nie wspominając o tym, że właściwie dopiero on udostępnił Polakom literaturę francuską w liczbie prawie 200 dzieł. Przełożył Villona i Moliere, Prousta i Gide’a, Balzaka i Montaigne’a, Woltera i Stendhala, i jego dzieło dowodzi, że jeśli się dysponuje zdolnością językowego przetwarzania (a tej potrzebuje każdy tłumacz), wtedy jeden tłumacz może z powodzeniem przetłumaczyć wielu różnych autorów i wiele różnych literatur. Poeta Jan Lechoń wyznał niedawno w swoich pamiętnikach, że polskiej prozy nauczył się na Boyu i jego przekładach.

(...) Kiedy tłumacz czyta dzieło obcego autora, odkrywa je dla siebie, przenosi na swoje doświadczenie, na swoją skalę i język. Wówczas owo obce staje się własnym, częściowo albo całkowicie, w zależności od tego, czy już wcześniej zostało zakodowane w jego świadomości, pamięci językowej i rozbudziło się dzięki tej lekturze, czy też dokonało się to dopiero poprzez akt symbiozy. Czytanie jest wędrówką po gabinecie luster. Oddalenia i zbliżenia, kanty i kąty. I wciąż zderzamy się ze sobą: my i nasze inne Ja. Co z tego powstaje i pozostaje, to tłumaczenia i interpretacje. Tłumaczenie stwarza nowe, żywe znaczenia. Tam, gdzie przekład powstaje jako twórczy akt dialogu przy aktywnym udziale obu stron, staje się on podwójną własnością. Na tym polega *fascinosum* tłumaczenia, jego duchowy *eros*, jego płodność. *Ars poetica* jest *ars amandi*. I na odwrót.

Przekład: *Agnieszka Kaleta*

Barabasza

To że zawołali:

– Daj nam Barabasza
Nie wzbudza we mnie
Dzisiaj już zdziwienia
Zawsze znajdą się tacy
Dla których pogarda
Kłamstwo, tępa przemoc
Prymitywna władza
Stanowi oparcie
By móc krzywdzić innych
Do bólu prawdziwi
W swej bezkarności
Miarę własnej wolności
znaczą okrucieństwem

– Uwolnij Barabasza
Nie dziwi mnie wcale
Bardziej mnie ciekawi to gdzie wtedy byli
Ci co z entuzjazmem witali Jezusa
Tum szlachetnych i dobrych
Dzielnych sprawiedliwych
Gdzie byli pobożni miłujący prawdę
Ci obdarzeni ogólnym szacunkiem
Jakie ważne przyczyny
Jakie wydarzenia
Zatrzymały ich w drodze
By nie stali w tłumie
I głośno krzyczeli: – Uwolnij Jezusa
Czy była to może niechęć do zgromadzeń
Do zaduchu motłochu, hałasu gawiedzi
Może strach, że ktoś ważny
Może ich zobaczyć
Czy ostrożność szepnęła:
– Lepiej zostać w domu
Nigdy nie wiadomo co się tam wydarzy
Może to było zmęczenie
Co zamyka powieki
Może w gronie przyjaciół
Miło czas spędzali
Całym sercem z Jezusem
Pozostali w domu
Może rozum im szepnął
Że szkoda zachodu
Że niczego nie zmieniają
Nic nie da się zrobić

Ile krwawych wojen musi się przetoczyć
Ile zbiorowych grobów
Bezimiennych mogił
Trzeba jeszcze odkryć
Aby zobaczyli
Plamy krwi na rękach
Ile holokaustów musi się wydarzyć
Ile łodzi zatonać na wezbranym morzu
Aby zrozumieli
Że ich głos bezcenny
Może przeważyć szalę
Że od nich zależy
Jak wszystko się kończy
I jak się zaczyna

Irena Zielińska

Płomienny akt kobiety

Ona – Naga
 We włosach ma płomień
 Zastłania skrzyżowaniem rąk
 Bezbroną jawność piersi
 Twarz ma bladą
 Zdjęto z tej twarzy razem z suknią
 Nadzieję i uśmiech
 Zdjęto z tej twarzy
 Płacz i przerażenie
 Teraz ta twarz
 Jak biała iskra
 W drodze do marmuru
 W wędrówce na płótno

Dalej w tle
 Koło stosu płomiennego toczy się
 W skórze kobiecej
 Przylegającej wiernie do załamania
 Pogłębionych fioletowym cieniem
 W fosforyzującym przeświecaniu kostnym
 Jest taka kruchość obojczyków, przegubów
 i ramion
 Że podmuch powietrza po przelocie jaskółki
 Może łatwo zburzyć nieściśłość wiązań
 szkieletowych

Ale z układu łokci znizonych do ud
 Można jeszcze odczytać żywy gest
 Kobięcy gest wymuszonego aktu

Wychylałam się spoza ram obrazu
 Podcinam jej płomień – własnym krzykiem
 Zziębnięta odwraca się w moją stronę
 Zgarbiona odchodzi
 Tam gdzie czeka na nią
 Po wystrzale
 Z barw spleciony ogień
 Jak z tęczy ku obłokom snująca się nieć

Biegłam na tę wystawę
 Portretowych płócien
 Ale się rozbiegłam na płomień i dym
 Ściskam teraz w garście
 Krztynę szarego popiołu
 Który już nie wróci do twarzy cielesnej
 Do włosów
 Do zmruczenia powiek
 Ciągłe się sypie z podniesionych pędzli
 Ciągłe z barw spada
 W przedbarwność

Roman Habdas

Irenie Zielińskiej

Wieczory i ranek nad Zalewem Bledzewskim

(...)

(Dzień kolejny)

Trzecia ciemnia spływa jak poprzednie, od strony drogi.
 Wykapany w misce letniej wody wsiąkałem myślami w jutro.
 I nagle przyszła Zielińska w Radiowej Książce Poetyckiej.
 Wsłuchuję się,
 wpatruję w żywotność świetlików. Szukają siebie,
 podobnie słowa słów dla pomnożenia wyrazu wiersza.
 Z Ireną jest piękniej.
 Brzydoty wystarczy.
 Usiadła przed zmierzchem na sąsiedniej kładce.
 Bluźniła o nędzy brań. U mnie przeciwnie.
 Spławik tańczył i jętki jednodniówki chmarą
 dla odbycia godów. Później śmierć.
 Ukleje syciły trzewia
 ogniwami łańcucha pokarmowego.
 Wchłaniane przeze mnie płatki
 miały dobry wymiar i smak.

(Ostatni wieczór)

Dzisiaj nie oddaję krwi. Okadzam się antykomarową spiralą.
 Jasność jeszcze spływa przez olchy i mirabelki. W kwadrans
 zamknie oczy. W sześć godzin zafaluje nowy dzień. Wstanę,
 jeśli Bóg da, o słońcu. Zapowiadali przejaśnienia.
 Wysłuchałem uważnie, ciśnienie wzrośnie.
 „Wariacje na eschatologiczny temat”
 – to też spod pióra Irki. Wpadła jak wczoraj
 z poetyckim wieczorem. Podobno nie boi się umierać...
 Widziała już siebie na katafalku i baby wokół,
 które zawodziły ostatni hit Johna Lennona.
 Ma się pomysły. W międzyczasie mrok zasłonił kładkę,
 odbił, płynię ku zaporze. Przy elektrowni
 zapala na powitanie latarnie. Tutaj osobiście
 zdmuchnę płomień chwilę po
 przypieczętowaniu ostatniej kropki.

(Ranek dnia piątego)

Ogoliłem się zaraz po zanurzeniu w poprzednich wierszach.
 Wielodniowe kłody zarostu w kolorze igliwia runęły
 do miski. Dzisiaj nie doczekam połykania drogi przez mrok.
 Krzew hyćki i ręcznik frotte zwisający ze sznura
 rozpromienia słońce. Mógłbym się też powiesić i schnąć
 połykany przez białe robaki. Czarnych myśli, może lepiej nie nęcić.
 Zapomnieć o grubych konarach na brzegu Obry.
 Obowiązkowo wymazać katafalk. Zebrać ufność,
 uchwycić kierownicę, zostawić komarom
 wszystkie mijane po drodze krwawniki. A zmierzchem,
 nieprogramowo odwiedzić Irenę. Posłuchać czy wszystko gra
 przy Sportowej.



ALEKSANDER NAWROCKI

Aleksander Nawrocki (1940), absolwent filologii polskiej, węgierskiej i etnografii na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował wierszami w roku 1965. Jest autorem 16 tomów wierszy oraz 20 tomów wyborów wierszy wydanych za granicą, dwóch tomów opowiadań, powieści *Cień jego anioła*, książki popularnonaukowej o szamanizmie syberyjskim, książki reportażowej *Jak zamordowano Imre Nagya* (powstanie węgierskie 1956 r.) Tłumacz poezji z języka węgierskiego i języków słowiańskich. Laureat 15 międzynarodowych nagród literackich. Uczestnik międzynarodowych festiwali poezji.

Od roku 1992 właściciel Wydawnictwa Książkowego IBIŚ, a od 1998 redaktor naczelny pisma *Poezja Dzisiaj*. Od roku 2001 organizator Światowych Dni Poezji UNESCO i od 2008 r. Festiwalu Poezji Słowiańskiej.

Za działalność otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. Uehonorowany wysokimi odznaczeniami przez czterech prezydentów: Republiki Czeskiej, Węgierskiej i Republiki Jakuckiej. Laureat Nagrody ZAiKS-u w 2015 r.

Odprawa z Hamletem

Chłopcze, tu nic się nie kończy i nic nie zaczyna.
Morderstwa trwają te same,
ta sama literatura i wiara –
oreź słabszych.
My wiemy co robić.
Między ferowaniem idei
przekonujemy: siebie –
namaszczonej drwiną,
poddanych – rozsądną tolerancją
i zmianą podatków.
W razie wyrzutów sumienia
można jeszcze raz zinterpretować
historię demokracji greckiej
lub rzymskie prawo.
Szpadą dziś – chłopcze – nikt
nie ocala honoru. Od tego
są dyplomaci, zdolni
przekonać rozsądnych.
Dlatego słusznie
umieszczono cię w piekle.
Nowoczesne niebo nie przyjmie
szalonych metafizyków,
szukających ponadczasowej etyki.
Okoliczności zmieniają
nawet świętych:
– Trzeba być z ludźmi – mówią
Piotr i Paweł.
Lubimy cię, jak starą bajkę
z dawno podartej książki,
wtedy i my strugaliśmy miecze,
żeby pomścić.
Groby i słowa?!
Danina krwi stała się patosem
w złym teatrze.
Nie gramy już tragedii.
Z twojego dramatu możemy
zrobić i wystawić
udaną farsę.
Idź więc
tam, skąd królestwo swoje
widzieć będziesz znów
jak piękną gwiazdę.

Obroża

Przyniesiono wspaniałą obrozę.
– Masz – powiadają. – Będzie
twoim świętem i dziesięcioma
przykazaniami.
Gdy się przetrze, naprawiaj ją
natychmiast.
Pilnuj jak własnego życia,
porównuj z obrożami innych
– to dobrze widziane,
narzekaj, że przyniesiono ci ją
za późno,
dopiero po urodzeniu.
Załóż towarzystwo miłośników obróż:
im więcej osób nimi zadławisz,
tym bliższy będziesz absolutnej prawdy,
że łagodny uścisk obroży na twojej szyi
daje ci poczucie bezpieczeństwa
i wiary, że jesteś potrzebny...
Patrzę na ich życzliwe ręce.
– Ale ja nie jestem psem – tłumaczę.
– Moją obrożą jest pogłos kniei
i pętla dróg, kłębiące się
w wyciu kolegów.
Mój głos nie zna woni człowieka,
dlatego wyję od serca.

Źródło

Dokąd, źródło, mnie odbiegasz?
Tam, gdzie łąki nieschodzone.
A błękitne twoje włosy...?
Posiwałe niebo cieszę.
Pić chcę z ciebie – moje źródło.
Są też inne wody, spróbuj.
Moje serce ciebie pragnie.
I tak do mnie nie powrócisz.
U twych brzegów chcę pozostać.
Lecz pragnienia nie ugasisz.

Szkic do miłości

Miłość – ptak biały na samotnym niebie.
Woda go pragnie w ramiona okrągłe.
Miłość – mężczyzna wśród nadbrzeżnych słów
pogłębia jedno... Niedomknięciem morza
jest czas miłości. W złożonych lektykach
niosą ją przez szlam do ostatniej gwiazdy.
A gdy odlotem zbliżnia powietrze,
oczy ma czyste jak starte monety.

Zakochani

Nie przeszkadzajcie zakochanym,
bo śmierć nad nimi samotniejsza.
O więcej kwiatów woła wiosna,
gdy świt porywa ich w objęcia.
I więcej dróg im znoszą ptaki,
więcej strumieni pragnie morze...
Czerwonym złotem dzwonią słowa
o smukke ciała, ponad głogiem.
Nie przeszkadzajcie zakochanym,
nim starość w nich ugodzi celnie:
oni kurtyną są błękitną,
która oddziela mroczną scenę.

Nie powtarzaj

Nie powtarzaj chwili, raz przeżytej pięknie;
smok w niej zamigoce, ptak spadnie, dzień pęknie
i dziewczyny, tej jedynej, włosy
będą tylko spinką, gwizdem kosa
w beznadziejne deszczowe południe
kiedy kwiatom przetrwać jest najtrudniej;
więc nie wracaj, gdy raz pożegnałeś
i nie żałuj, jeśli coś minąłeś...
W stepie ogień widać jest najdalej,
ale w ogniu zawsze coś się spali.



BARBARA JURKOWSKA

Urodziła się w Grudusku, w jednej z najstarszych wsi Mazowsza. Z wykształcenia fotograf, pedagog i etyk. Wiersze własne oraz przekłady m.in. prozy Iwana Bunina i Tatiany Tolstoj publikowała w licznych pismach literackich. Współpracowała z wydawnictwami, projektując okładki do książek. Przez 10 lat pisała artykuły i zamieszczała zdjęcia w ogólnopolskim tygodniku *Gazeta Szkolna – Aktualności*. W okresie pracy w Polskiej Akademii Nauk otrzymała nagrodę za osiągnięcia w nauce. Wiele lat pracowała w szkole i posiada stopień nauczyciela dyplomowanego. Od początku powstania pisma *Poezja Dzisiaj* pracuje przy jego redagowaniu, a także przy organizacji Światowych Dni Poezji i Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Jej wiersze publikowane były w wielu antologiach (wydanych w: USA, Anglii, Jakucji, Rosji, Bułgarii, Rumunii, Niemczech). W 1992 r. ukazał się tomik wierszy pt. „Powroty”, a w 2011 r. książka z jej wierszami (w języku polskim i angielskim) i fotografiami pt. „Obrazy morza / Sea pictures”.

Poeci

Z różnych krajobrazów
alfabetów
słyszycie szept
wiatru co za liściem goni
podziwiacie
ciało rzeki wygięte w zakola
smakujecie soczyste jabłka miłości
wrosłe ze słów

Jesteście jak
znikająca
smuga na rozprutym niebie

Wasze wiersze
potrzebne na okazje –
ozdobniki do usunięcia

czasami
nie do zapomnienia.

* * *

Co nam dasz
czasie nasz
kłamstwem
wypełniony
siłą chamstwa pchany
w gadzietowe krajobrazy
pustki durnej
bezrozumnej
odczłowieczej

Kto cię zmieni?
Dobrem?
Pięknem?

Słowem
przebijamy pustkę
dostrzegając
fragment lustra
w którym przeglądał się świat.

* * *

Jestem obok:
obok ciebie
obok was
i obok siebie.

Jestem tu
i tam też –
gdzie chcesz
jak chcesz –
wiem.

Gwiazdy na dłoniach mam –
szczęścia znak.
Jestem...
Jeszcze...

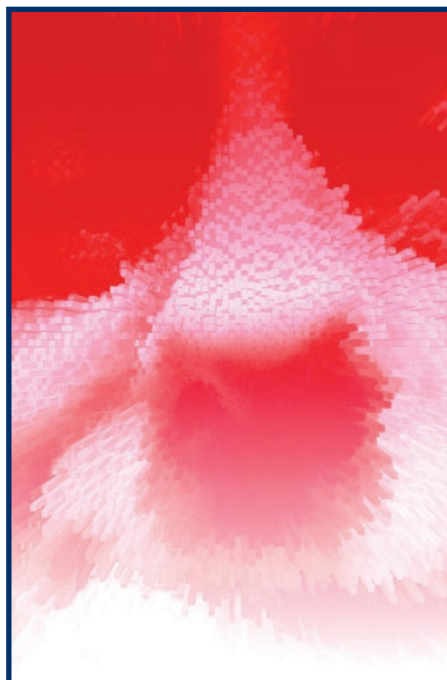
Z cyklu *Syberia*

* * *

Przestrzeń nie daje wolności
dal zamyka drogę
ucieczki
Bez drogowskazów
nie znajdziesz kierunku.

Możemy wędrować
w siebie
po znanych tropach
i odnajdywać
co nieznanne
i niewiadome było.

Jakuck, 2012



* * *

usta
purpurą zakwitwały
jak róża
ale
nie byłam różą
dni opadały
jak płatki
a słowa-kolce
bronily
przed obcością
ale
nie byłam różą
ogrody świata
podziwiałam

zapachy
zapamiętywałam
obrazy
zatrzymywałam
na fotografiach –
i wśród róż byłam
ale
nie byłam różą
Nie –
jestem
różą
dla
Ciebie

ANNA CZACHOROWSKA

Ur. 17.07.1953 r. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział Historyczny) i studiów podyplomowych na UKSW (Zarządzanie Kulturą). Mieszka w Legionowie, pracuje w Gminnej Bibliotece Publicznej im. ks. Jana Twardowskiego w Jabłonie na stanowisku dyrektora.

Jest członkiem Związku Literatów Polskich, członkiem Zarządu Stowarzyszenia Promocji Polskiej Twórczości. Opublikowała pięć tomików poezji: *Byłam różą Twojej zimy* (Anagram, Warszawa 1993 – debiut książkowy); *Dotykając szczęścia* (MOK w Legionowie 1995); *To Miłość do drzwi zapukała* (Fundacja Sztuki na rzecz „Integracji”, Warszawa 2001); *Zanim słońce zejdzie zboczem* (Anagram 2004); *W poczekalni snów* wraz z płytą CD (wiersze w wykonaniu Anny Dymnej), (Anagram 2011). W roku 2002 ukazał się w jej wyborze tom wierszy ks. Jana Twardowskiego – *Poeta wiary, nadziei i miłości* (Anagram, Warszawa), a w roku 2005 w jej wyborze i z jej wstępem tomik wierszy ks. Jana Twardowskiego – *33 Wiersze* (Wydawnictwo SPPT i Gminna Biblioteka Publiczna w Jabłonie).

Jej wiersze i piosenki prezentowane były w prasie, na antenie Polskiego Radia i TVP oraz radia australijskiego. Publikowane były również w antologiach poezji, m.in. w *Rozmowie pokoleń*, w antologii poetów XX wieku w wyborze Andreja Bazylewskiego. Kilka razy zamieszczane były w *Poezji Dzisiaj* oraz w kwartalniku *LiryDram* (jest twarzą 9. numeru). Tłumaczone na język rosyjski, angielski oraz cały tomik w języku islandzkim. W maju 2011 r. otrzymała od ministra kultury i dziedzictwa narodowego Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.



Jak kryształ

Wyspowiadam się
ze stanu moich uczuć
bardzo cicho
aby nikt
nie usłyszał

Zanim serce
ze skruchy
zdąży ukłuć
będę czysta

Jak kryształ

Dziesięć
próśb
grzesznika

Panie mój
zapal światło
w podróznym korytarzu
zdarzeń

Wylej żółć
poza ramy
jestestwa mojego
ze zbutwiałych resztek
marzeń

Wyprowadź
z obłądu
niedojrzałych słoneczników

Wypal chwasty
w gąszczu ścieżek
trwania doczesnego

Pośród wiatrów
głaszczących łany zbóż
weź mnie
jak okruc

Rozpył w tysiące pyłków
na niebieskie płaszczyzny
Ojczyzny Twojej
i....
zbudź

Panie mój
Żółty
Panie mój
Zielony

Pozwól mi gładzić
grzech powoli
jak Baranka Twego
Białego

* * *

Chłostana biczami wiatru
na deszcz i niepokogę
zgnieciona na proch
przez ząb czasu

Obdarta z szans
na przetrwanie

Znów zmartwychwstaję

By upaść

* * *

Znów ranek
budzę się ospała

ze słowem:
„chciałabym, pragnęłabym...”

I łańcuch pereł
na szyję wkładam

Jak ciężką łzę
choć jedną

Zdjęłabym

* * *

Jeden moment
jedno tchnienie

Ostatnie
wydane bez echa

I jest się już wszystkim
i niczym

Wszędzie
i nigdzie

Małą cząsteczką
Wszehświata



KRYSTYNA KAMIŃSKA

Kto uzdrowi nasz polski świat?

Był 1981 rok. Oni mieli po 20-30 lat. Wcielono ich do ZOMO. Stanęli po drugiej stronie barykady o społeczną wolność.

Wchodzą na scenę ostrym, rytmicznym krokiem, głośno biją pałkami w tarcze. Bez twarzy, w jednakowych mundurach. Przerazają. Sieją strach. Terroryzują. Siedzimy na widowni wbici w fotele. Okrutny to był czas.

ON najpierw jest ich dowódcą, wydaje rozkazy, ale coraz więcej w nim miękkości, refleksji, spojrzenia z drugiej strony.

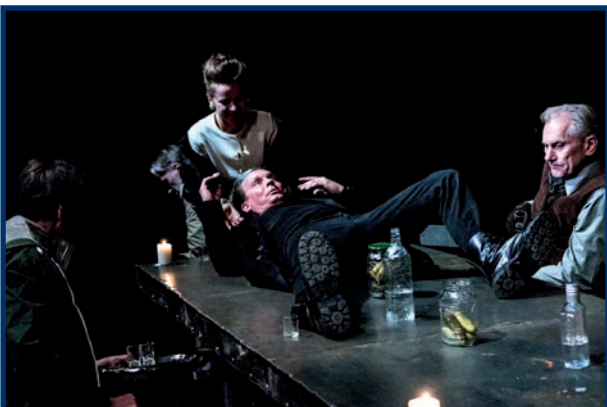
Na wysokiej scenicznej płaszczynie cztery kobiety oplakują tych, którzy zginęli w walce, tych, którzy walczyli w bratobójczej wojnie, cały świat chyłący się ku upadkowi.

*

Mija kilka lat. ON (Jan Mierzyński) jest teraz cenionym poetą. Mówi to samo, co wymyślił jako refleksyjny zomowiec, ale teraz nie jest sam. Dostaje wysokie nagrody, koledzy go cenią. To, co kiedyś było opresją, teraz jest powodem do chwały, z ofiary robi się bohatera. Kapitałny parodystyczny monolog uzasadniający powód ich istnienia także w obecnym świecie wygłasza Artur Nełkowski. Bo nie ma już wartości. Na piętrze lamentujące kobiety zmieniają się w dyskotekowe dziewczyny, by na rurze tańczyć do piosenki „Janek Wiśniewski padł”. Scena ostra, wulgarna. Pełna trywializacja śmierci, walki o wolność, tamtych bohaterów. Czy naprawdę aż do tego stopnia współczesna młodzież oswoiła solidarnościowe legendy? Ciarki idą mi po plecach. Wstydę się. Jedynym jasnym punktem tej sceny jest chłopiec, który dziecięcym głosem mówi balladę Mickiewicza.

*

Zaczyna się scena ostatnia, najdłuższa, najmocniejsza w rozrachunku. Minęło 35 lat. Bohaterowie 1981 roku są starsi o te lata. Jak co roku spotkają się, by wspomi-



nać. Siadają za długim stołem, piją wódkę, kłócą się i godzą, w strzępach zdań roztrzaskują swoje losy. Być może są to ci sami chłopcy, którzy w pierwszej części tłukli pałkami, ale nie tylko. Jeden był tajnym donosicielem, inny szpiegiem, ktoś pracował dla Urzędu Bezpieczeństwa, ktoś robił karierę w partii. Różne też były przyczyny ich zgody na tamten ustrój. Niektórzy akceptowali go, bo wierzyli w ideę, komuś zaproponowano wyższą pensję i mieszkanie, kogoś zaszachowano przyłapaniem na jakimś przestępstwie lub nieetycznym zachowaniu. Teraz wszyscy mają moralnego kaca. Ich wszystkich historia wyrzuciła na margines. Jeden jest zwykłym pijackiem, inny epatuje niepełnosprawnością jako powodem do chwały, ktoś roztrząsa swoje życie w kategoriach filozoficznych, ktoś inny szuka płaszczyzny usprawiedliwienia, pisze petycję do narodu z prośbą o zrozumienie. Jest wśród zebranych tamten Poeta, ale już nie odgrywa żadnej roli. Łączy ich tylko wódka, do której wygłaszają litanie pełną gorzkiej ironii.

W tej scenie na pierwszy plan wysuwa się jedyna kobieta, bravurowo zagrana przez Marzenę Wieczorek. Teraz jest po prostu pijaczką, ale zanim widz to sobie uświadomi, obserwuje różne jej

oblicza: pięknej kobiety, uwodzicielki, matki dzieciom, ideowej propagatorki wolności, demaskatorki także uwikłanej w przemoc, nawet prostytutki. Ubrana w białą bluzkę i czerwoną spódnicę szarga narodowe barwy. Wreszcie demonstracyjnie się rozbiera, bo dla niej w żadnej płaszczyźnie nie ma granic ani hamulców. Ona była gwiazdą tamtych lat, a teraz...

Gdy zaperzenie i rozbuchanie starych ważniaków sięga szczytu, z bocznych drzwi sali wkraczają młodzi. Ubrani w czarne kombinezony i białe kominiarki stają jeden obok drugiego przed pierwszym rządem. Groza. Groza. Groza. Dopiero ich naprawdę się boję.

Dla mnie w tym miejscu przedstawienie mogłoby się zakończyć. Niedopowiedzenie ma większą siłę niż konkret.



Autor – Piotr Rowicki i reżyserka – Joanna Zdrada dołożyli jeszcze jedną, długą scenę opartą tylko na ruchu, bez tekstu. Młodzi w kominiarkach wdzierają się na scenę i fizycznie rzucają się na starszych. Trwa walka, w której przegrywają obie strony. I gdy już zgodnie leżą na podłodze, na scenę wkracza mały chłopiec, ten od Mickiewiczowskiej ballady, w koszulce z orłem w koronie na piersi. Tylko on jest przyszłością – zdają się mówić twórcy. W moim odczuciu jest to zakończenie zbyt banalne. Uzdrawienia narodu nie można szukać dopiero w małym chłopcu.

*

Tytuł sztuki „New Year’s Day” zaczerpnięty został z piosenki Bono zrodzonej z polskich zdarzeń 1980 roku, a wtedy niosących nadzieję. Tu jest jednym wielkim wyrzutem sumienia. Co prawda na scenie pokazano świat tylko tych, którzy byli po jednej stronie barykady, ale to też byliśmy my, Polacy. Teraz, po latach, młodzi twórcy przedstawienia oglądają tamto pokolenie z gorzką ironią. Choć rzeczywistość pokazana jest groteskowo, choć się śmiejemy, jednak dominującym wrażeniem po obejrzeniu sztuki jest smutek. Głęboki smutek. Bo pokazane pokolenie skazane jest na przekreślenie, na odrzucenie. Czy mamy czekać dopiero na małego chłopca, który uzdrowi nasz świat?

Przedstawienie przygotowano z myślą o młodych odbiorcach. Jest ono trudne w pełnym zrozumieniu, gdyż w tekście wiele tropów do klasyki literackiej, do kulturowych mitów, do polityki, która się szybko dewaluje. To inteligentne przedstawienie warte głębokiego przemyślenia pod kierunkiem mądrych nauczycieli. Ciekawa jestem, jak ocenią je pedagodzy. Teatr postawił poprzeczkę bardzo wysoko. Czy młodzi widzowie ją wezmą? Nawet jeśli nie przeskoczą, jak w sporcie, warto podjąć próbę, czyli je zobaczyć.

Krystyna Kamińska

Piotr Rowicki, „New Year’s Day”, reżyseria Joanna Zdrada, scenograf Anna Kaczkowska, choreografia Kamil Wawrzuta, muzyka Piotr „Ziarek” Ziarkiewicz. Na scenie: Joanna Ginda, Karolina Miłkowska-Prorok, Kamila Pietrzak-Polakiewicz, Joanna Rossa, Marzena Wiczorek, Michał Anioł, Bartosz Bandura, Przemysław Kapsa, Mikołaj Kwiatkowski, Jan Mierzyński, Artur Nełkowski, Leszek Pełowski, Krzysztof Tuchalski, Damian Wiesner, Cezary Żołyński, młodzież ze Studia Teatralnego: Oskar Taurogiński, Fabian Jurski, Kamil Tracz, Kamil Juściński. Premiera 17 września 2016 r.

PIOTR STEBLIN-KAMIŃSKI

Byłem w teatrze

Premiera „u Osterwy” to dla mnie zawsze duże wydarzenie. Spektakl teatralny obejrzę, kolegów spotkam i jeszcze się mogę powymądrzać.

Tym razem na początek sezonu zafundował dyrektor Jan Tomaszewicz mieszkańcom Gorzowa sztukę Piotra Rowickiego „NEW YEAR’S DAY”.

Gdyby ktoś się mnie spytał, jaki jest ten spektakl, patrząc na niego z pozycji mojego wieku, z wyżyn mojego doświadczenia, z głębi tego, co mnie Irek nauczał, powiedziałbym krótko: „Do d...”.

Zaprzeczenie prawie wszystkiego, co kiedyś prawdziwa sztuka teatralna posiadać powinna. Nawet pistolet w kaburze szefa „zomowców” Janka Mierzyńskiego w ostatniej scenie nie wypalił. Światła sceniczne nie dosyć, że zimne, chropowate, to waliły po ślepiach.

Gdyby ktoś jednak kazał mi ocenić sztukę zaistniałą w tym, tu i teraz świecie, w tej Polsce i przeznaczoną dla ludzi młodych, mających przecież innych, jak ja, bohaterów i inne priorytety, bez wahania mówię – „Rewelacja”. Pierwsza dla mnie (bo może były już gdzieś nieśmiałe próby) sztuka, która próbuje się rozliczyć z bliską przecież jeszcze przeszłością. Dawniej trwałoby to latami, teraz świat gna do przodu, jakby młodzież szybciej dojrzewała, jakby coraz mniej nasze ideały przejmowała. Tworzy nowe, własne. Mam do tego jeszcze przemożne wrażenie, że nie żąda nawet od nas wskazówek, nie oczekuje pomocy w zrozumieniu ich świata. Ta młodzież umie wyartykułować to, co w nas tkwi gdzieś jeszcze głęboko, czego boimy się ujawnić publicznie. Czy ten powojenny świat, ta nasza Polska naprawdę były czarno-białe?

Ktoś po spektaklu próbował mi wcisnąć, że spektakl zadaje pytania, na które młody człowiek sam ma znaleźć odpowiedź. Guzik. Ta sztuka daje odpowiedź! Potwierdza tylko to, o czym ta młodzież mówi już od dawna. Bo ona wie, że patriotyzm ma wiele odcieni, że bohaterstwo ma różnych ojców, że życie nie jest czarno-białe, ani tym bardziej biało-czerwone.

U ludzi dojrzałych ta sztuka spełnia potrzebę ich wewnętrznego ładu. Usuwa z ich mózgow wątpliwości. Spojrzenie na stan wojenny z pozycji zomowców, ale przecież bez dotychczasowego „a dobrze im tak”, „a ukarać”, „a zabić czerwonych pachółków”. Spojrzenie jak na ludzi uwikłanych w normalne tamto życie. W tamte realia.

Spektakl jest świetnie zagrany. Jak już pisałem, zespół naszego teatru zagrać może każdą bez mała sztukę. Duże tempo, perfekcyjni wszyscy aktorzy. Oj, musiała tam pani reżyser Joanna Zdrada dać aktorom „popalić”. Taka gra wymaga harówki. Akcja od początku gorąca. Utrzymywała się prawie do końca na tym samym poziomie. Wysokim. Nie musiała się „rozwijać”. Niby nic, a dawała „po zaworach”.

Doroczne spotkanie zomowców w rocznicę stanu wojennego to kwintesencja samotności w nowym świecie, winy przegranych i konieczności własnego rozrachunku z „tamtym” życiem. W tym całym zapijaczonym, ohydny, ale przecież pełnym bólu spotkaniu rewelacyjnie dla mnie zagrały trzy osoby. Świetny był Janek Mierzyński, ale jak dla mnie trochę zbyt mało był przywódczy.

Marzenka Wiczorek pokazała mistrzostwo. Niezadługo przecież będę miał ze 100 lat życia, po teatrach się szlajałem, ale tak zagranej „pijanej kobiety” jeszcze nie widziałem. Tak targanej kłeską osobistą, przegrany życiem kobiety. Przed laty Marzenka grała trochę emocją, teraz to już osobisty stosunek do postaci, którą gra, plus warsztat. Ale jaki warsztat!

Artur Nełkowski otrzymał brawa przy otwartej kurtynie za scenę, w której gra telewizyjną postać Bogusława Wołoszańskiego. Świetny tekst, kapitalnie zagrany. Ktoś powie – scena samograj. Ale zagrać taki



samograj! Tak zagrać! A przecież wcale nie gorszy, a dla mnie nawet lepszy był jako pijaczek przy stole. Taki niewielki, ale pijaczek, taki zwykły szary pijaczek. Bezwolny, bez własnego zdania, przytakujący wszystkim szmatławy zomowiec. Ale znowu, jak zagrany!

Od dawna też nie widziałem tak świetnie grającego Cezarego Żołyńskiego. Donosiciel, kapuś, wredny oślizgły typ. Rola trudna, bo chociaż podleca wielu by mogło zagrać, to jednak nie tak jak Cezary. Zachowywał się jak zawodowiec, zachowywał się, jakby nic złego przecież nie robił, zachowywał się, jakby donosicielstwo był normalną i to pożyteczną pracą. Wyraźnie cierpiał, że to, co wykonywał, ludzie mogą uważać za istotę zła. Taka podłość z cierpieniem na twarzy. Mistrzostwo.

Nie ciekawi mnie, jak przyjmie tę sztukę młodzież. Przyjmie dobrze. Skrótowość tekstu to przecież ich „SMS”, to ich „maile”, a nie moje przydługie wierszydła, sonety i epepeje. Dobrze też przyjmą sztukę ludzie średniego pokolenia i starsi. Odpowiada przecież ona na ich wątpliwości.

Ciekawi mnie, jak przyjmą spektakl politycy i politykierzy jedyniej słusznej idei, stróże moralności i obrońcy prawdziwej polskości. Kto pierwszy „wykona” dobry, miły telefon do Dyrektora, „ale przecież wiecie, rozumiecie...”. Ktokolwiek by to był, niech sobie przypomni tego małego chłopca w ostatniej scenie sztuki. I jego obojętność, gdy spoglądał na te wszystkie kiedyś wrzaskliwe, teraz nieprzytomne indywidua. Może tylko ten orzeł na pierśsiach tego nowego pokolenia mógłby być trochę mniejszy, trochę skromniejszy, trochę bardziej milczący?

Dobra, nieprzytłaczająca tekstu scenografia. Do tego jeszcze ładnie skomponowane okno sceniczne. Taki obraz okolony ramą portalu. I w końcu zobaczyłem na scenie ład kompozycyjny. Taki jak lubię.

New Year's Day – moje drugie rozdanie

Do Teatru im J. Osterwy w Gorzowie na sztukę „New Year's Day” poszedłem jeszcze raz. Byłem na premierze w sobotę i na spektaklu we wtorek o godz. 13.00, głównie dla młodzieży z I Ogólniaka. Przed spektaklem przeczytałem recenzje (w tym swoją). Opancerzony i uzbrojony po cichutku wśliznąłem się na widownię.

(...) Możemy sobie dywagacje o „stanie wojennym” wsadzić w tyłek. Młodzi bezbłędnie przypisali każdą scenę sztuki do wydarzeń współczesnych. Bezbłędnie. O ile krytyczni byli do cycka Marzenki (tzn. do tego, co zauważyli), to tylko z powodu jego wielkości, a nie braku stanika.

Teraz dotarło do mnie, że rację miał Irek Szmidt, że ten spektakl formą przypomina najlepsze studenckie teatry kreacji zbiorowej ubiegłego wieku, że tego typu spektakle w „profesji” już były. Ale nie takie! Marsz „zomowców” nie przypominał mi paradnych spacerów aktorów teatru Ryszarda Majora. To za grosz nie były jego „majoranki”. Inna idea, inne wykonanie, inne odczucia.

Poszedłem na spektakl jeszcze raz także ze zwyczajnej ciekawości. Kto miał rację. Czy sztuka prowokuje do zadawania pytań, czy sztuka te pytania definiuje, czy w końcu daje „gotowca”, czyli odpowiada. Niestety, nie miałem racji. (...) – „A pan myśli, że ci, co teraz rządzą, nie będą kiedyś na wódzie potajemnie się zbierać?” – stwierdził po spektaklu jeden z uczniów, którego w foyer zaczepiłem.

Tak. To już są pytania!

Piotr Steblin-Kamiński

Origami

Wziąłem nożyczki i pociąłem moje miasto. Spokojnie. Nie zrobiłem tego bez głowy. Z powstałych kawałków sklepiłem sobie mieszkanie, unikając przesady – skromnie, cicho, przy młodych ziemniakach, pękach kopru i rabarbaru z rynku Jerzego. Z góry sypią się wiśnie i czepiać się, że wiocha, że ściema, nie ma powodu. Miastu trzeba więcej wiary. I odwagi. Otoczyłem je torem żużlowym. 34 km toru. Nie ma większego na tym świecie. Niech nas znają, niech wiedzą! Przy mecie grają miejscy filharmonicy. Robili uniki, ale nie mieli wyjścia. Agencja ich przymusiła. Agencja pracy czasowej. To obcy, nie mają mieszkań z takim widokiem, jakie mają w mym mieście malarze czy nawet poeci – chociaż u tych ostatnich trudno mówić o dobrych widokach – ciemne, pełne kości labirynty, aż dreszcz przechodzi. Zajęci laniem wody, bo byłby mi uciekł ten ważny szczegół, w moim mieście ciecze rzeka i jest, rzecz jasna, rzeką poetów: piękną nie do opisania, krystalicznie czystą ojczyzną sumów, karasi i płotek, o znamionującym upartość, krętym charakterze, dzielącym miasto na dwie połowy – w jednej mieszkają poeci wyklęci, w drugiej święci. Wyklęci próbują pisać białym wierszem, święci więcej rymują. Miasto moje ma też wersję z brązu, wersję, że tak powiem, wbrew niepewnym skojarzeniom – brązową i może nie jest to rzecz dziwna, ulubioną przez dzieci. Brąz głąskany odpowiednio długo, pięknie się świeci, a wtedy miasto lśni jak lustro. Dzieci i rajcy lubią błyskotki. Na mostach siedzą policjanci i miejscy strażnicy. Niezbyt się lubią, więc nie siedzą razem – ci tu, a ci tam. Rośnie złość i rozpacz w ich sercach, bo nikt ich nie lubi. Silne chłopcy, w rękach trzymają śmieszne różeczki do poganiania baranków, lecz kiedy te są grzeczne – nudą wieje. Trudno wypatrzeć złodziei, więc bawią się między sobą, dzieląc role. Tymczasem strażacy palą i gaszą, palą i gaszą, palą i gaszą. Co robić. Stresująca praca. Palenie szkodzi, ale czekanie na akcję zżera nerwy. Przelecieć się helikopterem, zgasić kosz na śmieci, a potem już tylko leżeć i marzyć o posadzeniu Nerona na miejskim tronie. Proboszcz z kadzidłem nie stanowi dla nich konkurencji. Ba! Szansa jest, że coś zaproszy, ale jak lata z kropidłem – amatorka. Mimo to okazują sobie sympatię. To zasługa św. Floriana, co dzielnym strażakiem był i gasił katedry lub coś w tym rodzaju.

Wziąłem nożyczki i pociąłem moje miasto na drobne kawałeczki. Każdemu kawałek, nikomu nie braknie, ale trzeba płacić! Możesz miłością, przywiązaniem, tęsknotą lub łzą.

Trzecie oko

(fragment powieści)

Padła deszcz. Konik, wyraźnie zdeglustowany, spoglądał na mnie, ja przecierałem moką twarz. Był rok tysiąc pięćset osiemdziesiąty czwarty, dziewiąty września – tak mówiło wskazanie trzeciego oka. Miejsce rzeczywiście zmieniło się niezbyt wiele – aż z przestachem rozejrzałem się za wilkami, zaś konik otrząsnął się, szczerze obrzydzony deszczem i pchnął mnie pyskiem. Chodźmy stąd – powiadało jego spojrzenie – nic tu po nas. Sprawdziłem tobołki – wszystko przeniosło się z nami tak, jak było poprzednio. Zatem ruszyliśmy do traktu, który opuściliśmy ponad dwa i pół stulecia temu.

Nawet jeśli wybrane przeze mnie do delokalizacji miejsce zmieniło się przez ten czas niewiele, to reszta świata – owszem. Opuściwszy po jakiej godzinie gęstwę, zobaczyliśmy wokół siebie pofałdowaną powierzchnię pól, pastwisk, łąk, poprzecinaną pasami lasów – w miejsce litej puszczańskiej krainy z wydartymi jej tu i ówdzie splachetkami ziemi. Stojąc na wyniesieniu, mając leśną gęstwinę za sobą, widzieliśmy przed sobą dwie wieże, zapewne kościelne, niewielki gródek z zameczkiem na wzgórzu po lewej i potężniejszą warownię pod horyzontem na wprost. W panoramie przed nami były krowy pasące się stadkiem w oddali i bliżej owce zapewne, bo zza pobliskiego zagajnika dochodziło nas beczenie. Przede wszystkim zaś mieliśmy przed sobą trakt, rysujący się wstążką w umiarkowanym oddaleniu, po którym poruszała się jakaś pojezdka i kilku konnych za nią. Przestało padać. Konik rozglądał się chwilę, po czym ze stoickim spokojem zabrał się za chrupanie trawy, widocznie nie znajdując specjalnej różnicy w smaku pomiędzy tą tutaj a niegdysiejszą. Poprawiłem odzienie i zesłaliśmy w dół, do traktu.

(...) Po nocy, którą spędziliśmy w gęstwinie kryjącej nas jak namiot, wyruszyliśmy dalej. Widać było, że zbliżamy się do znacznego grodu: ruch wokół nas narastał, pojawiało się coraz więcej osób możnych i żołnierzy, coraz częściej byliśmy spychani z drogi przez kawalkady barwnie ubranych konnych albo ozdobne karoce. Niewiele sobie z tego robiliśmy. Ludzie szli w strugach deszczu w tę i w tamtą stronę, od czasu do czasu słyszało się pozdrowienie, szliśmy i my, chałup, domków, szopek wśród pól i warzywnych działek było coraz więcej, aż zaczął się przed nami rysować gród. Wysokie mury z wieżami, zamczysko wystające zza obronnego kordonu, iglice kościołów, ciżba dachów. Dotarliśmy do bram Pragi.

I właśnie w bramie miejskiej popadliśmy w tarapaty. – Ej, ty! Obdartus! – zawołał strażnik. – Ty! Z tym śmiesznym koniem! Chodź tutaj!

Podszedłem, konik za mną.

– Gdzieś ukradł tego konia? – zapytał, po czesku.

– Nie ukradłem – odpowiedziałem, ale w niemieckim.

– Dostałem go, za pracę.

– Oho – mruknął strażnik. – Ti jesteś ne-stąd? – zapytał łamaną niemczyzną.



– Nie, panie – odpowiedziałem grzecznie. Jestem z miasta Kolonii. Służyłem u kupców z miasta Amsterdamu i oni dali mi konika za pracę.

Konik zarżał cicho. Zabrzmiało to jak chichot.

– Pofiedz temu pferd, żebi byl czycho. Jego pszipytam rychle – strażnik trochę mieszał języki.

– Dopsze – niechący wczułem się się w dialog. – Cicho koniu.

Konik wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak: hy?

– Czycho! – strażnik starał się być stanowczy. – Wi tu po co?

Ponieważ patrzył na nas obu, zapytałem, najgrzeczniej jak umiałem: – Ja mam powiedzieć, panie?

– Ne pitam koń! – zdenerwował się strażnik. – Tilko czy! Koni ne mówycz!

– Pfff! – prychnął konik.

– Nasyr matyr! – zdenerwował się strażnik jeszcze bardziej. – Czi ten koń przestanie?

Zacisnąłem konikowi rękę na pysku. Wokół nas zrobiło się trochę tłoczno, od dłuższej chwili tarasowaliśmy bramę, przynajmniej po części. Strażnik rozejrzał się, zamachał rękami.

– Przechodzicie, przechodzicie! – zawołał. – Ondreju!

Z drzwi strażnicy wynurzył się drugi, z halabardą.

– A czego?

– Stawaj tu! – nakazał nasz strażnik. – Ja z tymi muszę... Tam idziecie! – ruchem ręki nakazał nam przejść za załomek bramy. Odetchnąłem z ulgą, bo od wewnętrznej strony.

– Po co wi tu? – zapytał ponownie strażnik, nieco łagodniej. Deszcz ustał. Mając mur i bramę teraz już za plecami, z ciekawością patrzyliśmy na miasto. Brukowana ulica wiodła nieco ku górze na wprost, nad nią pochyłyły się mury kamieniczek, niektóre z wysuniętym nad ulicę piętrem, w większości z ulokowanymi na parterze kramami i sklepikami. Barwna ciżba ludzka mimo mżawki krążyła od kramu do kramu. Na lewo i prawo, do wewnętrznej strony murów przyklepione były domki, domeczki niemalże, niektóre pomalowane na żywe kolory. Zapachniało chlebem. Konik westchnął i wyciągnął szyję.

– Ti też wąszy? Głodny? – gdyby nie druga część pytania nie zrozumiałbym pierwszej. – A macie gelt? – strażnik dodał jeszcze jedno pytanie.

Mieliśmy. W podwójnym dniu sakwy, z którą się nie rozstawałem, tkwiła jedna marka kolońska, którą uskładałem trochę z żebractwa, więcej z pracy. Był to pieniądz na czarną godzinę – jedna, jedyna marka kolońska i teraz widać przyszedł na nią czas. Pogrzebałem w sakwie, odwinąłem krążek ze szmatki i pokazałem strażnikowi.

– Mamy.

Strażnik patrzył na monetę w mojej dłoni.

– Ti ukradłeś – zawyrokował.

– Nie – odpowiedziałem. – Zapracowałem.

Patrzyliśmy na siebie. Konik wetknął łeb między nas i przyglądał się zawartości mojej ręki.

– Tam chodite – strażnik wskazał na prawo. – Tam złotnik, wymienia pieniądze. Wechselgeld – dodał, w niemieckim.



– Kupisz chlebu i jemu dasz – spojrzał na konika. – Lepsi na syty. Po co wy tutaj? – zapytał po raz trzeci. Odniosłem wrażenie, że tym razem już nie z urzędu, a z ciekawości.

– Po naukę – odpowiedziałem. – Uczyłem się w Kolonii, a teraz chcę tutaj spróbować.

– Karlowy Uniwersytety? – zapytał strażnik. Pokiwała głową. – To ne je dobro. Tam tylko kłótnie, czyj Bóg lepszy. Kalwiny, luterany, katoliki, wszyscy oni siebie warcą. My naród spokojny, kościół mamy własny, a jak trzeba będzie znowu bić się o niego, to też potrafimy. Komu to różnica, czy kto wino pije, czy tylko chleb je, no? I jeszcze te alchemiki wszystkie, tylko kłopot z tymi szarlatanami.

– Patrzą za jednym – wtrąciłem. – To Anglik, nazywa się John Dee.

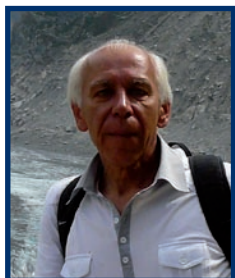
– Ja tam ich nie znam wcale – odpowiedział strażnik. – Anik. – Ale skoro szukasz, to idź na Złotą Uliczkę, koło zamku. Tam oni siedzą i w garach warzą koty i nietoperze. Z koniem idź! – zaśmiał się. – Twój koń więcej rozumu ma niż oni!

– To możemy iść? – obaj z koniem patrzyliśmy na strażnika.

– A idźcie, ludzie! – strażnik nadal był rozbawiony. – To wesołe miasto. Ty poważny, to kariery tu nie zrobisz, ale twój koń, kto wie?

AUTOR POLECA

Nie potrafię określić, jakiego rodzaju jest ta powieść. Jej bohaterowie mają wiele przygód – być może jest to powieść przygodowa? Owszem, ale należy dodać, że ich przygody rozciągają się na przestrzeni ponad pięćdziesięciu milionów lat – zatem byłaby to powieść historyczna, a nawet prehistoryczna? Niekoniecznie, niektórzy jej bohaterowie pochodzą z przyszłości odległej o kilkaset tysięcy lat i z miejsc w tej przyszłości nie do końca określonych. Zatem jest to powieść typu fantasy? Nie, bo sporą jej część zajmują rzetelne uzasadnienia możliwości, jakimi bohaterowie dysponują, zaczerpnięte z zaawansowanych teorii kosmologicznych, mechaniki kwantowej, fizyki cząstek elementarnych, neuro- i psychofizjologii, egzotycznych gałęzi teorii ewolucji. Może fantastyka naukowa? Nie, bo wymienione w poprzednim zdaniu naukowe tło stanowi jedynie fundament mający uzasadniać poczynania bohaterów i uczynić je możliwymi. A co to za poczynania? Między innymi wynikają one z refleksji nad ważkimi problemami etyki, w tym nad pochodzeniem i znaczeniem wiary i jej zinstytucjonalizowanej formy – religii. Może to w ogóle nie jest powieść, tylko esej filozoficzno-naukowy? Nie, bo bohaterowie mają wiele przygód. Koło się zamknęło. Biorąc pod uwagę, że w pewnej scenie jeden z nich patrzy na siebie samego strzelającego z łuku do pewnego króla, a w dalszym rozdziale inny bohater pisze



manuskrypt, o autorze którego nie wiemy do dzisiaj nic, równie dobrze może to być kryminał. Dodam jeszcze, że jest tam również miłość. Pozostawmy przy tym.

Nic, co nie jest fizyczne, nie istnieje. Jest to motto tej powieści, jak mantra powtarzane przez głównego bohatera i uzasadniane przez innego. Oni dysponują nie przekonaniem o prawdziwości tej sentencji – dysponują wiedzą o jej prawdziwości. Nie może istnieć nic, co nie jest albo energią, albo materią. Tylko: bohaterowie powieści przechodzą na inny poziom rozumienia tej prawdy, daleko bardziej rzeczywisty aniżeli ten, który pozwala nam z dostatecznym zrozumieniem poruszać się po otaczającym nas na co dzień świecie. Bo codzienny obraz świata nie jest jego obrazem rzeczywistym, albo też: nie jest jego obrazem rzeczywistym w sensie pewnej fundamentalności. Zilustruję to przykładem.

Najpowszechniejszym pierwiastkiem w kosmosie (naszym kosmosie) jest wodór. Pojedynczy atom wodoru jest zbudowany z jednego protonu w centrum, jednego elektronu krążącego w przestrzeni wokół centrum oraz teje przestrzeni pomiędzy nimi. Co jest w tej przestrzeni? Nic w niej nie ma, czego można byłoby dotknąć, są tam obecne jedynie siły wiążące oba elementy tworzące atom wodoru. Jest on mikroskopijny; do wypełnienia kropki na końcu tego zdania potrzebne byłyby miliony atomów wodoru. A jak wygląda? Gdyby wyobrazić sobie, że proton jest wielkości jabłka, to elektron miałby wielkość główki szpilki i krążyłby wokół protonu w odległości pół kilometra. W kropce wypełnionej atomami wodoru mieliśmyby miliony kilometrów pustki i od czasu do czasu jabłko albo główkę szpilki. Zresztą i to jest umowne, bo materialność protonów i elektronów jest innego rodzaju aniżeli materialność, na przykład, drewna. A teraz popatrzmy na materialny, w sensie codziennej materialności, drewniany blat stołu. I co? No, właśnie.

Nic, co nie jest fizyczne, nie istnieje. Jeżeli już zejdziemy tak głęboko w rozumieniu świata, to zaczynają się pytania, często zahaczające i o fizykę, i o filozofię. Uczęszczając do kościołów, zborów, cerkwi, meczetów – miejsc wyznawania kultów religijnych, słyszymy nieraz: obraz Jego nie z tego jest świata (używam wielkiej litery z szacunku do wszystkich wyznawców). Zgoda, ale w takim razie z jakiego jest świata? Gdzie ten świat jest, skąd się wziął, jakie są reguły jego budowy i funkcjonowania, czy można tam dotrzeć i wrócić? Czy idea Boga jest ewolucyjną pochodną wewnętrznej konstrukcji człowieka, czy też jest w stosunku do człowieka zewnętrzna? Czemu służy? Czy jest ewolucyjnie korzystna, czy nie i w jaki sposób? Słyszę już głośne zdania za i przeciw, słyszę liczne przykłady. Ale nie da się ocenić wartości ewolucyjnej jakiegoś elementu, rozpatrując go w przedziale kilku, kilkunastu, niechby i kilkudziesięciu tysięcy lat. Potrzeba setek tysięcy lat i potrzeba wyobrazić sobie, w jakim kierunku ewoluował będzie ludzki umysł. Powieść przyjmuje jakąś hipotezę za prawdopodobną, ale



podstawa rozumowania nie wyklucza możliwości formułowania i uzasadniania innych.

To wielki Stanisław Lem porównał takie poczynania do piłowania gałęzi drzewa wiadomości dobrego i złego. Jest to niezwykle trafne i absolutnie właściwe naturze ludzkiej. Obok netbooka, na którym piszę, leży kot i wylizuje sobie ogon. Dlaczego kot to robi? Bo może! Jest to jedyna trafna odpowiedź i dotyczy ona również natury człowieka. Człowiek docieka, bo może. Bo został wyposażony w umiejętność zadawania pytań, aparat poznawczy, zdolność refleksji i to wszystko, przy dzisiejszym stanie wiedzy, hipotezach dotyczących kierunków jej rozwoju i przewidywanych możliwościach, pozwala mu na stawianie kolejnych i kolejnych pytań. Raj jest nieczynny, zatem piłowanie gałęzi drzewa wiadomości niczego gorszego aniżeli dotąd nam już nie wyrządzi, natomiast, być może, dowiemy się czegoś, co nie tyle uczyni nasze życie natychmiast lepszym, a wskaże kierunek w cierpliwej wędrówce do lepszego świata.

O wszystkim tym uprzedzam, drogi czytelniku, zanim jeszcze zabrałeś się za lekturę. Uprzedzam, że oprócz opisanego wyżej fundamentu, powieść przywołuje pewne osoby i zdarzenia historyczne, porusza pewne zagadnienia filozoficzne (również metafizyczne, a także mistyczne), przywołuje pewne teksty, niektóre dawne, mało znane, albo zapomniane. Akcja powieści toczy się w różnych czasokresach i w wielu miejscach. Staralem się rzetelnie odtworzyć rzeczywistość, w której poruszają się bohaterowie, czy jest to pięćdziesiąt milionów lat temu, czy dwa tysiące. Staralem się o wiarygodność postaci, co nie było łatwe z powodów, których w tym miejscu ujawniać nie mogę. Staralem się, aby ta opowieść była ładna, aby była przejmująca, aby zapadała w pamięć, i każdemu, kto zdecyduje się na lekturę, dostarczała powodów do przemyśleń. Czyniłem tak, bo lubię wszelki dyskurs i jestem egoistą – zatem pisałem ją z myślą o pozyskaniu wielu partnerów (nawet jeśli zaciekle przeciwników) do przemyśleń na temat dylematów, przed którymi stają bohaterowie powieści.

Zapraszam do czytania

Jerzy Alski

Jerzy Alski, „Trzecie oko”, vol. 81 serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, Gorzów Wlkp. 2016, 392 s.

(Co cię nie zabije...)

...TO CIĘ WZMOCNI!

Dwa lata temu **Łucja Marczyk-Rajchel** wydała powieść pod tytułem „Co cię nie zabije...”. Teraz dała czytelnikom ciąg dalszy losów swojej bohaterki z kontynuacją przysłowia w tytule: „...to cię wzmocni”.

W pierwszej części opowiedziała losy Anny, której mąż popadł w chorobę alkoholową. Anna robiła wszystko, aby pomóc mężowi, wyciągnąć go z nałogu. Powieść kończy się powrotem Konrada po kuracji alkoholowej do domu i radością wszystkich.

Druga część opowieści o losach Anny rozpoczyna się od normalnego życia rodziny: ona, mąż, synowie, jej matka mieszkają w dobrych warunkach i z pozoru są szczęśliwi. Ale po dwóch latach nałóg powraca. Anna wnosi sprawę do sądu i dostaje rozwód. Staje się samodzielną.

Samodzielność to przede wszystkim umiejętność radzenia sobie z kłopotami. Pierwszym okazało się zdobycie mieszkania. W latach, gdy dzieje się akcja powieści, trzeba było czekać w kolejce na mieszkanie po parę lat. Ale tę, a także każdą następną trudność Anna rozwiązuje w sprawdzony sposób: przez znajomości. Każdy jest dla niej życzliwy i pomaga przyznać mieszkanie, samochód, skierowanie na wczasy, potem segment w szeregowcu. Anna nie ma poczucia, że trzeba się czymś odwzajemnić. Nie zauważa tych, którzy po mieszkanie, samochód czy wczasy czekają w kolejkach.

Autorka stwierdza o Annie: „Ma swój mały świat, kochane dzieci, mamę, skromny, ale stabilny byt materialny, lubianą pracę i środowisko. I jest w swojej wymodlonej ojczyźnie”. Tak, Anna chodzi do kościoła, ale nigdy nie modli się za ojczyznę. W jej świecie nie ma spraw politycznych ani kwestii społecznych. Za życiowy cel uznaje dobre wychowanie synów. Oni odwzajemniają jej miłością. To bohaterce wystarcza.

W życiu Anny są nowi mężczyźni. Życzliwie przyjmuje adorację pierwszego, ale nie wiemy, czy ona go kocha. Godzi się na małżeństwo, bo oprócz miłości mąż daje jej pozycję towarzyską i dobre zarobki. Pełnia szczęścia nie nadchodzi, bo mąż umiera, zanim Anna zdążyła z nim zamieszkać. Drugi książę z bajki oferował jej materialnie i towarzysko jeszcze więcej, ale w jej odczuciu za mało czołobitnie. Po latach przyjęła adorację sąsiada, który jej świata nie zmienił, ale na co dzień okazał się bardzo przydatny. Autorka wyraźnie idealizuje swoją bohaterkę. Jest piękna, dobra, zaradna, także z duszy życzliwa ludziom, ale tej życzliwości nie widzimy w działaniu. Przyznaję, że w miarę lektury coraz mniej lubiłam Annę. Denerwowała mnie swoją minoderią, brakiem refleksji egzystencjalnej, realizacją bardzo zachowawczego modelu życia kobiety.

W pierwszej części dylogii ważny społecznie problem tuszował braki książki, w drugiej części nie ma tematu. Opisanie zwykłego życia wymaga dużego talentu narracyjnego. Czy takie opisanie w jakiejś części czytelniczki zaspokoi?



Łucja Rajchel-Marczyk, „...to cię wzmocni”, vol. 79 serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, Gorzów Wlkp. 2016, 216 s.

Z dystansu osoby dojrzałej

Tom wierszy **Marii Borcz** „Mikrochaos” każe myśleć. Jej krótkie wiersze prowokują do przemyśleń, a także do dyskusji o podstawowych kwestiach filozoficznych, gdybyśmy mieli do nich okazję.

Dla autorki punktem wyjścia jest sentencja włoskiego duszpasterza i pisarza katolickiego Alessandra Pronzato: *Linia graniczna między dobrem a złem, pomiędzy dobrocią a nikczemnością przechodzi przez mikrochaos, którym jest serce każdego z nas*. Jest w tym tomie jeszcze kilka innych odwołań do Biblii lub pism ojców Kościoła, ale nie po to, aby je przyjąć bezdyskusyjnie, ale właśnie by pokazać ich ambiwalencję. Bo nawet gdy nam się wydaje, że coś wiemy naprawdę, zawsze jeszcze pojawia się jakieś ale...

W cytowanym motcie probierzem wartości jest serce. Maria Borcz idzie dalej. Wprost pyta: czy tylko ono? Część pierwszą pt. „Chaos” autorka poświęca na analizę miłości, która *daje szczęście i je zatruwa*. O miłości napisano mnóstwo wierszy, ale najczęściej o doznaniach własnych autora lub podmiotu lirycznego. Maria Borcz z dystansu osoby dojrzałej patrzy na plusy i minusy tego uczucia najpiękniejszego i najważniejszego dla człowieka. W ostatnim wierszu tego cyklu stawia pytanie: gdzie jest granica między miłością a jej pozorem?

Część drugą tomiku autorka zatytułowała „Mikro”, by wykazać ambiwalencję między tym, co wielkie, a tym, co małe. Bo z jednej strony wielkość widać dopiero z perspektywy małości, ale czy to, co nam się wydaje wielkie, takie jest naprawdę? Rozmyślanie w tej części kończy przejmujący wiersz o trudzie umierania, o odchodzeniu, które teoretycznie trwa przez całe życie, a przecież samo przekroczenie granicy śmierci dla wielu wiąże się z ogromnym cierpieniem.

Część trzecia z osobistym tytułem „Moje mikro pytania” to tylko cztery wiersze tematycznie związane z problemem transplantacji, a szerzej z wyznaczeniem granicy między życiem a śmiercią.

Wielkie tematy Maria Borcz przekazuje w krótkich wierszach. Wyeliminowała z nich nawet tytuły, przenosząc do tytułu pierwszy wers. Jedna metafora, jedna sugestia, jeden rys, a wiele treści.

Nie ma jednoznacznych odpowiedzi na stawiane przez Marię Borcz mikropytania, które naprawdę okazują się makro-. W codzienności zbyt często je pomijamy. Przestaliśmy szukać odpowiedzi u filozofów, a religię przyjmujemy powierzchownie. Dobrze, że poezja wraca do najważniejszych pytań człowieka.



Miły ton u Gąsiora

*Do mysiej dziury uciekam
by się nie wydało
żem pełen kompleksów
i nie chcę się wystawiać
na śmiech gawiedzi
więc milczę i czekam w ukryciu*

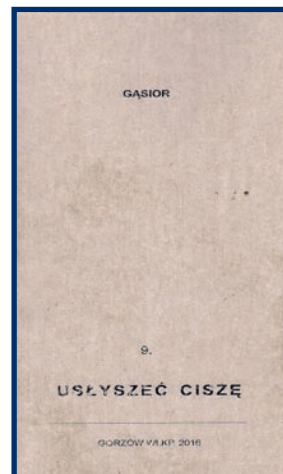
Każdy, kto choć raz spotkał **Gąsiora** (Jerzego Gąsiora), wie, że mówić on nie lubi, że zawsze chowa się gdzieś z tyłu, że odmawia uczestnictwa w spotkaniach autorskich lub innych formach promowania swojej twórczości. Natomiast od 15 lat pisze wiersze, w których zamyka swoje przemyślenia o świecie i życiu. Tylko w nich jest naprawdę szczery, tylko przez nie pozwala czytelnikom wejść do swojego świata.

Najnowszy tomik jego wierszy nosi tytuł „Usłyszeć ciszę” i ma numer dziewiąty. Gąsior od początku wydaje swoje tomiki w jednakowej, bardzo prostej szacie graficznej: szara okładka, wąski format, 100 stron, a na każdej jeden wiersz. Choć do numeracji nie włącza np. wyboru swoich wierszy lub tomików wydanych z jakiejś okazji, to jednak zebrało się już prawie tysiąc jego rozmyślań zapisanych białym wierszem.

Co jakiś czas Gąsior podrzuca czytelnikom kolejny worek z wierszami. Po prostu w tomiku zamyka wiersze napisane w ostatnim czasie, raczej w układzie chronologicznym, bez zwracania uwagi na kompozycję całości. Tym razem jest nieco inaczej. Choć nie ma podziału na części ani rozdziały, czasami wiersze układają się w cykle. Na przykład te z bezokolicznikami w tytułach: „Widzieć”, „Mówić”, „Milczeć”, „Słyszeć”, „Iść” pokazują, że sens życia tkwi w działaniu. Kilka wierszy dotyczy wieży w Santoku, którą zbudowano w 1935 roku, a teraz jest miejscem pracy twórczej autora. O budowniczych tej wieży często dobrze myślę – stwierdza autor. I dalej: *Zaledwie dziesięć lat cieszyła ich oczy / i na myśl im nie przyszło / że wznoszą ją dla Gąsiora*. Santok, widok z wieży, połączenie Warty i Noteci, szeroki krajobraz, nocne niebo, na którym widać spadające gwiazdy – to stałe tematy wierszy Jerzego Gąsiora, ale zawsze z nowym ujęciem i nową refleksją. Generalnie autor bardzo czuły jest na uroku krajobrazu; tu zwracają uwagę wiersze o pięknie morza, szczególnie na Rugii.

Są w tym tomie refleksje znane z wcześniejszych tomików – zdziwienie, dlaczego ludzie sami sobie wyrządzają tyle zła: prowadzą wojny, niszczą trwałe wartości, kaleczą się wzajemnie. Czy wierszami da się zmienić losy świata? Autor nie ma złudzeń, a mimo to, przywołując Don Kichota, stwierdza: *dla mnie ów Rycerz / z obłądem w oczach / co świat chciał naprawiać / bliski i prawdziwy*.

We wcześniejszych tomikach, szczególnie w poprzednim pt. „Bliżej”, wyraźnie wyróżniały się wiersze sumujące, pożegnalne, wiersze o końcu życia. Natomiast w tym wybija się nowy ton. Cały tom autor dedykował wnukom, a w kilku wzruszających wierszach przedstawił swoją radość z ich narodzin (szczególnie Zosi), zachwytu nad dziecięcymi zachowaniami, a także troskę o ich przyszłość. Znacznie to miłszy ton niż ten wcześniejszy.



Wybierać piękno z kolekcji czasu

Z dala od tego, co zwyczajne, lokuje swą liryczną, niezwykle świetlistą i barwną przestrzeń Aldona Robak, autorka wydanego pod koniec września tomu „Metamorfozy”. Jednak banałem byłoby stwierdzenie, że zbiór ten jest próbą ucieczki od tego, co poetkę w namacalnym świecie uwiera, czy zniesmacza, bo ona przecież o tym świecie nawet nie wspomina, jakby jej nie dotyczył. Tę poetycką książkę stworzyła bez wątpienia osoba wysublimowana, silnie odczuwająca nie tylko sztukę, ale też wrażliwa na szeroko pojmowane piękno. Malarka, której prawdziwą pasją jest kadrowanie świata.

Aldona Robak zdaje się być poetką głęboko zanurzoną w swojej wewnętrznej przestrzeni, jakby unikała spotkania z realnym światem, sublimując w ten sposób swoje pragnienia. Jej wyrafinowany, jakby trochę rokokowy świat jest azylem, stanowi rodzaj szklanego klosza doskonale chroniącego przed wszystkim, co może zakłócić poczucie harmonii. Jest to świat rozmięgotany jubilejskim blaskiem, ale nie sprawia wrażenia barokowego nadmiaru, bo ta ornamentyka jest dozowana i przypomina raczej impresjonistyczne płótna, których nastroj tworzy światło. Jest go tutaj wiele, światła, na które poetka nakłada rozmaite filtry dające kreowanemu przez nią światu walor zupełnego odrealnienia. Momentami to światło wydobywa z obserwowanych zjawisk drobiazgi warte czulego objęcia poetyckim słowem. Daje się zauważać wyraźny respekt wobec przyrody, jej widowiskowości, ale poetka potrafi też podnieść do rangi poetyckiego tematu z pozoru mało efektywny detal. Te opisy są albo autonomiczną impresją, albo pretekstem do ukazania własnego portretu, czy też wyeksponowania tylko jakiejś części prawdy o sobie lub też określenia relacji z tym, co na zewnątrz.

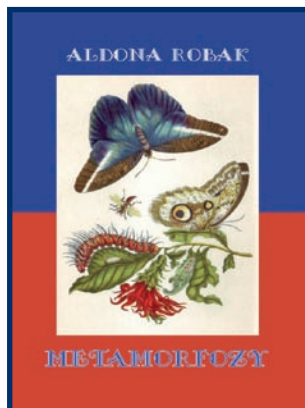
Tom Aldony Robak wyrasta z fascynacji sztuką, inspirowany jest również światem barw, dźwięków, zapachów. Sensualna aura kreowanej tu przestrzeni każe czytać tom jako pewnego rodzaju most łączący świat zewnętrzny ze światem imaginacji. Przejście te zdają się przenikać, nakładać na siebie, czyniąc z nakreślonego tu świata obraz absolutnie niezwykle. Autorka sugestywnie odtwarza tę przestrzeń, która jest jej własna i stanowi obszar podlegający wyjątkowej ochronie.

Kluczowy cykl tomu otwiera tekst ilustrowany obrazem Marii Sybilli Merian, osiemnastowiecznej niemieckiej badaczki i ilustratorki, której pole naukowych i artystycznych poszukiwań stanowiły przeistoczenia owadów. Malarska księga niemieckiej entomolożki stała się inspiracją tytułu tomu, a wiersz „Metamorfozy” można czytać nie tylko jako ekfrazę, poetycką transpozycję płótna, ale także klucz do całego tomu, w którym autorka wskazuje bezpośrednio inspirację jej poetyckich kompozycji, jak i ideę zbioru:

*Na pergaminie cynobrem szafirem
osiemnastowieczne motyle wyfruwają barwami
znad soczystości owoców Zakochanej w Pięknie*

*Wczorajszy motyl
zatrzasnął się w czasie
pomiędzy*

Sporo tu odwołań do innych płócien, których proveniencja nie ogranicza się do jednego czasu ani konwencji. Na kartach książki gości chociażby Veronese, Rembrandt, Cézanne, Picasso, Magritte, Dali. Poetka jest wyjątkowo czuła na barwy, dlatego wielokrotnie powraca w tym tomie motyw sukni w kolorach pożyczonych z obrazów, które szczególnie dotknęły wrażliwość autorki. W tych powrotach jawi się subtelny, kobiecy aspekt oglądu świata.



W swoich odniesieniach do kanonu malarstwa autorka sięga także do nawiązań, czego przykładem może być wiersz „Chapeau bleu” oraz ilustracja odsyłająca do zapachu stworzonego przez wnuczkę genialnego malarza.

Ale bohaterem tych wierszy jest także czas, skutki jego wpływu dla zmieniających się form. Metamorfozy zachodzą przecież głównie za jego sprawą.

Poetka także mówi o swoim obcowaniu z literaturą, odtwarza wrażenia towarzyszące lekturze ważnych dla niej dzieł.

Świat pokazywany w tych wierszach sprawia wrażenie iluzorycznego, dostępnego tylko potrafiącym patrzeć wnikliwie lub obdarzonym dodatkowym zmysłem. Bywa, że kontakt z pierwszymi wersami sugeruje ścieżkę zupełnie inną niż ta, która rozwija się w wersach kolejnych, bo bardzo często opis jest pretekstem do odsłonięcia prawdy o człowieku, często samotnym, tak jak na przykład mieszkanka stupiętrowego bloku, bohaterka jednego z wyróżniających się w tomie wierszy:

*jest tylko mały stupiętrowiec
o cienkich ścianach
i wielkich światach (...)
w dzień cisza na każdej szybie
tylko na piątym piętrze jakaś dziewczyna
przyklepa płatkę tulipanów
podobne do serc.*

Bywa też, że znany nam świat jest lustrem, w którym odbija się galaktyka, tak usilnie przez podmiot wypatrywana w tafli rzeczywistości:

*gwiazdy chłodne dźwięki
rozsypują się na oknach i snach
stałam w oknie nocą
gdy wsypywały się do śnieżnej róży
w ogrodzie za lustrem.*

Forma tekstów często przypomina tu japońską miniaturę, jest subtelna, elegancka, unikająca werbalnego nadmiaru. Niekiedy, jak w klasycznym haiku, rzeczy dziejące się tu są jakby poza kategorią czasu:

*Przez płatek maku
jak szkło witraża
łąka w purpurze
jednak uleci
w samotność.*

Esencjonalność tych wierszy przy ich swoistej zalotności i aluzyjności powoduje, że obcowanie z książką Aldony Robak jest wyrafinowaną rozrywką dla intelektu. Dzięki niej sięgamy do historii osiemnastowiecznej entomologii, zastanawiamy się nad zapachem stworzonym przez Marinę Picasso, próbujemy odtworzyć w pamięci barwy oglądanych kiedyś płócien. Współtworzą tę książkę ilustracje, które angażują kolejny zmysł. I choć tematyka zbioru mogłaby stanowić pułapkę dla ujęć banalnych, podkolorowanych czy mdłych, autorka skutecznie broni się przed efektem sztuczności. Z wyczuciem operuje instrumentarium poetyckim, które w szlachetny sposób zbliża tę poezję do czystych źródeł liryki, do jej harmonii, jasności i afirmatywności życia.



Czy Włodzimierz Korsak używał komputera?

Włodzimierz Korsak przyjechał do Gorzowa w 1945 roku. Był już znanym pisarzem i propagatorem ochrony przyrody. Choć jego książki w warstwie literackiej mocno się postarzały, jednak idea, której poświęcił życie, ciągle jest żywa. Nadleśnictwo Kłodawa wspólnie z Muzeum Lubuskim przygotowało „Korsakówkę”, czyli izbę pamięci, w której można bliżej poznać Włodzimierza Korsaka i jego starania o szacunek dla przyrody. Polecam wszystkim to miejsce.

Najczęściej odwiedzają je dzieci. Aby więcej zapamiętały o Korsaku i o lesie, powstała książka pod tytułem „Wizyta w Korsakówce”. Podstawową jej częścią jest gra planszowa, podczas której gracze podążają drogą, jaką przebywał pisarz do leśniczówki Mszaniec, gdzie często spędzał wakacje. Po drodze mija się torfowiska, pomniki przyrody, źródła, rezerwat przyrody, szkółkę leśną, a każde z tych miejsc wymaga zatrzymania się i zdobycia o nich wiedzy.

Dla młodszych są kolorowanki: trzeba ubarwić strój myśliwego lub wymalować drogę do rodzinnego domu w Anińsku. Kolejne zadania adresowane są do coraz starszych dzieci. Mnie zabawiła zgadywanka, z czego kucharka państwa Korsaków gotowała obiad. Na rysunku są rozmaite produkty, a wśród nich chipsy, baton, zupa w torebce, jogurt. Zabawa polega na eliminacji przedmiotów, których w szkole nie mógł używać mały Włódzio, a wśród nich komputer, długopis, mazak. Są tu też fragmenty wspomnień Korsaka ze szkoły, w której oceny końcowe wystawiano już w kwietniu, w maju były egzaminy, a potem wakacje aż do września. Przewodnikami po lesie są chłopcy: 10-letni Włódzio i jego przyjaciel z ludu – Józwa. Opowiadają o gągolech, bielikach, orłach, a swoją wiedzę pomagają rozwiązać rebusy, zagadki, krzyżówki. Są tu także zabawy przydatne dla współczesnych dzieci, np. napisz życiorys Korsaka albo według zamieszczonej instrukcji stwórz swój zielnik.

Książkę „Wizyta w Korsakówce” wydali wspólnie Nadwarciańskie Towarzystwo Upowszechniania Dziedzictwa Kulturowego związane z gorzowskim muzeum i Nadleśnictwo Kłodawa, a projekt sfinansowany został z budżetu miasta Gorzowa. Niewiele ukazuje się u nas książek napisanych specjalnie dla dzieci. Nie myślą o nich nasi poeci. Tę książkę opracowały dwie panie, które z profesji zajmują się upowszechnianiem wiedzy – Monika Kowalska z muzeum i Aleksandra Popiołek z Nadleśnictwa Kłodawa. Nie mogę mieć zastrzeżeń do treści i pomysłów pań, ale zabrakło mi tu odrobiny poezji. Przy ładnej, kolorowej szacie plastycznej także nie widzę tu ręki malarza. Szkoda, że do pracy nad tą książką nie zaproszono artystów z większą fantazją. Mimo to jestem przekonana, że spełni ona swoją funkcję i wśród dzieci utrwali pamięć Włodzimierza Korsaka oraz jego ukochanego lasu.

„Wizyta w Korsakówce”, tekst Monika Kowalska i Aleksandra Popiołek, oprac. graficzne Piotr Seweryński, wydawcy: Nadwarciańskie Towarzystwo Upowszechniania Dziedzictwa Kulturowego i Nadleśnictwo Kłodawa, Książka jest rozdawana dzieciom odwiedzającym Korsakówkę w Kłodawie.

Poezja czyli piękno przyrody

Władysław Łazuka, poeta, autor kilkunastu zbiorów poezji, od ponad 40 lat idzie swoją, z wiersza na wiersz, coraz bardziej ustaloną drogą. Potwierdza to wydany najnowszy jego duży tom poetycki „Chwila z kosem i inne wiersze”, wydany nakładem Biblioteki im. Z. Herberta w Gorzowie. Afred Siatecki twierdzi, że choszczeński poeta „nie opisuje przyrody, lecz z nią rozmawia”. W jakimś sensie „rozmawia”, ale wołałbym jednak akcent postawić na akt pisania, oczywiście pisania w daleko idącym od czuwaniu wszystkich impulsów, drgnień, refleksów i zmian dokonujących się w przyrodzie. Jest to pisanie w dużej z nią bliskości, w rozumieniu jej odrębności. Świadomość Łazuki określa, z jednej strony przez niego np. dostrzegany *szron na dachach / i w trawach / w kałużach lód* (s. 20), a z drugiej, samowiedza, że on – poeta ze swoim słowem *tak naprawdę / nie potrafi / opisać świata / a skrawek za ledwie / z coraz większym trudem* (s. 21). To wyraźna manifestacja aktu pokory wobec obserwowanej ontologicznej wielkości. „Tak naprawdę” doznawana znikomość własnego pisania jednak nie wytrąca mu pióra z ręki. Choć w słowie ujęte „zostaje niewiele”, to zarazem wie, słusznie, że jest w nim (w słowie) *to co istotne / ma swój ciężar i sens*. Pewnie to niewiele, „a może aż tyle” (s.16). Tu, w tym dylemacie rozstrzyga się bycie twórcą. Natura tu jest oczywiście wszechwładną Panią. Jej królestwo wypełnia realność pór roku, żywiołów, realność świata roślinnego i zwierzęcego. Temu królestwu obce jest słowo. Nie przez nie istnieje, ale sama w sobie trwa. Intuicyjnie tę rzecz, tę zasadę immanencji świata natury, Łazuka wyczuwa. Toteż podchodzi do niej z wielkim respektem. Jak każdy poeta chce jej piękno i sacrum bądź tajemnicę pochwytać, ale warta pamiętania i przestrzegania jest dla niego zasada, że nie należy naruszać jej spokoju, rytmu, jej piękna nadużytym słowem, a już zwłaszcza „byłe słowem”. Jego despotyczną uzurpacją. Zresztą, któż nie doświadczył wielu takich sytuacji, gdy wręcz jakiegokolwiek odzywianie się i komentowanie nadzwyczajności nastroju, ciszy, było popsuciem go i barbarzyńskim nietaktem. Wycofuje w kontakcie z nią cały swój egotyzm, jakby sam się wycofuje fizycznie, siebie zapomina, by ją przyjmować w możliwie najpełniej. I tak bezbrzeżnie chłonąc jej uroki. Kto kocha naturę i wrażliwie czuje ją, wie, że czasem wypada milczeniem wyjątkowość np. przestrzeni zaśniewionego pola, jego skrzęcej się bieli jakby „od ziemi do nieba”, gdyż *nawet szept*



Promocja książki Władysława Łazuki w Salonie Literackim WiMBP 21 IX. O poecie i jego wierszach opowiadał Czesław Sobkowiak

/ byłby bałasem i zgrzytem / więc nie mów nic / w bezruchu stój. Bardzo to prawdziwe. Napisa-

ne na granicy wtajemniczenia. Odwołujące się do prostoty relacji. Ta umiejętność w wierszach Łazuki jest sposobem na zbliżenie się do dobrego doświadczenia przyrody. Wie, że należy ufać chwili, momentowi, mgnieniu, by zobaczyć i usłyszeć. Niekoniecznie dosłownie, to co zewnętrznie obecne, ale usłyszeć w samym sobie. Poetyka Łazuki oparta jest na wypracowanym jakby mimowolnym używaniu słów, podobnym do delikatnego, oszczędnego wielce, czasem zdawkowego, pojedynczego potrącania struny. Łazuka unika w ten sposób staroświeckości stylu, jest współczesny. Słowa nie są tu włączane w jakiś system mocnych gramatycznych i semantycznych zależności, koniunkcji składni, ale są pozostawiane samym sobie, mają się odrębnie, słowa-wersy, przez co próbują naśladować, a więc uwydatniać odrębność każdej nazywanej rzeczy, dając jej szansę bezpośredniego przemawiania, działania, itp. To cenne. To znak poczucia równowagi pomiędzy światem a podmiotowym wnętrzem. Takie to zniesienie podmiotowego prymatu artystycznej przewagi i pychy. Wreszcie – wyraz dojrzałości, którą dały lata pisania jakby tego samego wiersza. I o tym samym, bo – jak Łazuka napisze – *nic więcej nie trzeba*. Liczy się tylko oddanie, zbliżenie się do sekretu języka i istnienia. Swoista to sztuka użycia do współpracy tych dwóch sfer. Mylić się może ktoś, jeśliby sądził, że taka gra sama przychodzi. A zwłaszcza, że została postanowiona. Wykalkulowana. Raczej nie. Myślę, że nie od rzeczy będzie w tym miejscu zauważyć, że właściwości, którym towarzyszą też autorskie refleksje, są pochodną kontemplacyjnego nastawienia poety do otaczającego świata. Wtedy, podczas nawet mimowolnej kontemplacji, mającej sporo wspólnego z bezinteresownym obserwowaniem, odkrywana jest głęboka warstwa istnienia – istota śnieżnej bieli, ciszy czy nawet zdarzeń biograficznych. Własne życie też można tak ujmować. Cisza, może być ujmowana jak rodzaj delikatnej „bańki mydlanej” bądź „pęk róży”. Dotykając jednego lub drugiego działa niszcząco, profanująco. Więc jest tu poetycko wzbронione. Jeśli uważnie ten zbiór czytać, to dostrzeżemy i powroty do dzieciństwa, do *zbierania kasztanów / i żółędzi / i do rachowania*, co samo w sobie dość oczywiście sentymentalne. Wszystko już „minęło a jest”, paradoksalnie. Trochę inaczej ma się sprawa z przywołaniem domu rodzinnego. Tenże wyłącznie tkwi w pamięci. I można go zobaczyć jako dawne, w przeszłości miejsce. Dawne jest wędrowanie leśnymi drózkami, nad strumieniami, za pstragami, brzegami jezior, wąwozami, jarami, „Cyganie nie wędrują”, „Nie słyhać parskania koni”. Jakieś życiowe możliwości i jakiś świat się skończył. Jest już inny w szczegółach. Czegoś „coraz mniej”. Można miejsce urodzenia odwiedzać, czuć je mocno, ale będzie się w cudzych oczach już kimś obcym, miastowym, mimo że tu były stawiane „pierwsze kroki”. W konsekwencji nie da się poecie na tych doświadczeniach już poetycko stale bazować. Są wyłącznie tłem. Wieś da się wspomnieć lub co najwyżej wyśnić, ową np. domową *ręczną sieczkarnię do cięcia słomy lucerny i pokrzyw* (s. 110). Co więc zostało? Poza pamięcią i snem. Jedyne żywa i zmienna sfera przyrody, która jawi się uniwersalnie. Obserwowana bywa w różnych chwilach z okna bloku, podczas spaceru nad jeziorem, w czasie wyjazdu do lasu, o poranku i o zmierzchu, podczas wyjścia na grzyby. Jest wszędzie ta sama. Pozwala poecie snuć rozważania apologetyczne o niej. W niej trwanie podmiotu. Ma rację Krystyna Kamińska, że Władysław Łazuka jak nikt inny „czuje przyrodę w jej pięknie”, jej naturalnie przydanym. Dodałbym do tego spostrzeżenia jeszcze to, że raz po raz pojawia się w tych wierszach narracja, co ważne, bliska prozy: *usiadłem przy polnej drodze / oparłem się o głaz / ciepły był jak człowiek (...)* *tak wiele już widział / umiał słuchać* (s. 61) lub: *wracam do domu / odpocząć / i ogrzać się / przy piecu / kot w kącie / błogo śpi* (s. 54). To położenie akcentu na codzienność, zwyczajność, powszedniość egzystencji jest być może zapowiedzią następnego kroku poetyckiego.



Władysław Łazuka

W ogrodzie

W zapomnianym ogrodzie
słuchać rozmowy ptaków
podziwiać owady
kosztując owoce dziczynej czereśni
których smaku nie znajdziesz nigdzie
poza tym miejscem
w zapomnianym ogrodzie
gdzie skoszona trawa jest już sianem
– jego aromaty w cieniu starych drzew
ach jakie tam sny
słodkie dni
przeminęły

Nie wrócą

Niby erotyk

Miło jest leżeć w trawie
słuchając szeptów
szelestów pod błękitem
podpatrując motyle i ptaki

próbować słodczy żdźbła
oddychać pełną piersią
wśród zapachów
w rozkołysaniu
kwitnącej łąki lata
w chwili
która się nie powtórzy
w pełnym słońcu

być

Sierpień. Noc

Tym samym traktem
co w roku minionym
toczy się nocy Wielki Wóz
Cisza objęła zagrody pola i las
umilkły psy
Paruje staw i rzeka
w nadbrzeżnych łąkach układają się mgły
Za pagórkami skrył się sierp Księżycy
i czyjeś księżycowe sny

Promocja PEGAZA LUBUSKIEGO nr 2 (65)

16 czerwca 2016 – Salon Literacki WiMBP im. Zb. Herberta. Licznie przybyłym na promocję czytelnikom oddajemy drugi numer naszego kwartalnika, a 65. od początku istnienia tego czasopisma redagowanego przez prezesa ZO ZLP, Ireneusza K. Szmida. Jego wydawcami (od początku, czyli od 2003 r.) są Oddział ZLP i WiMBP w Gorzowie.

Pismo jest jednym z nielicznych mówiących tylko o literaturze. Jest także forum wypowiedzi naszych lokalnych poetów, prozaików i krytyków. Omawiane są nowe książki i osiągnięcia poszczególnych autorów na różnych konkursach literackich.

Spotkanie, jak zwykle, prowadził prezes Oddziału ZLP, Ireneusz K. Szmida. Rozpoczęło się minutą ciszy dla uczczenia odejścia Romany Kaszczyk, poetki, dziennikarki, scenarzystki, malarki, ceramiczki i nieodżałowanej instruktorki dzieci i młodzieży. Kilka słów o pracy Romany Kaszczyk w Barlinku powiedziała Jolanta Karasińska. Następnie prowadzący przedstawił nowo przyjętego do ZLP pisarza prozaika-podróżnika – **Marka Bucholskiego**. On zaś opowiadał o swojej pasji podróżowania i przenoszenia potem wrażeń na kartki kolejnych książek.

O tegorocznej Furmance, o sukcesach i problemach organizacyjnych krótko powiedziała Beata P. Klary. Ważny rozdział „Pegaza...” – nowości wydawnicze przedstawiła Krystyna Kamińska. Trochę dłużej zatrzymała się przy najnowszym tomie Władysława Łazuki, wydanym przez WiMBP pt. „Chwila z kosem i inne wiersze”. Omówiła także pracę Zb. Sejwy „Z albumu gorzowian” (wyd. Miejski Ośrodek Sztuki), „Żywot jętki” Iwony M. Żytowskiak, wiersze „Z ziemi do nieba” Władysława Grabana, kolejny tomik poetycki ks. Jerzego Hajdugi „Współbrzmienie”, Roberta Piotrowskiego „Volksbad – Łażnia Miejska 1930-2015” oraz album „Byliśmy w teatrze” wydany z okazji 70-lecia Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie.

Swoje utwory czytali: **Roman Habdas**, **Tomek Korbanek**, **Jerzy Hajduga**, **Irena Zielińska**, **Marek Stachowiak**, **Krystyna Dziewałtowska-Gintowt** i **Ferdynand Głodzik**.

Gościem spotkania był **Aleksander Nawrocki** z Warszawy, poeta, prozaik, eseista, krytyk, wydawca, tłumacz. Od 2001 r. jest organizatorem Światowych Dni Poezji UNESCO, na których wybitnym polskim poetom wręczana jest nagroda „Laur UNESCO”, a zagranicznym nagroda „Poezji Dzisiaj” za przekłady poezji polskiej. Impreza trwa 100 dni, rozpoczyna się w Warszawie i wędrując po Polsce, kończy się w Wilnie. Aleksander Nawrocki od 2008 r. organizuje także Festiwal Poezji Słowiańskiej. W Gorzowie gościł na zaproszenie p. Barbary Schroeder z okazji 15-lecia Klubu „Na Zapiecku”.

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są udostępnione w internecie. Można (ale już niektóre) otrzymać także w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie.

Rocznicowe czytanie

13 czerwca odbyło się kolejne spotkanie z tego cyklu. Tym razem w pałacowej kawiarni ogrodu dendrologicznego w Przelewicach. Akcję przed kilku laty wymyśliła Beata P. Klary. Podobno pomysł rozprzestrzenił się na bardzo wiele miejscowości w całej Polsce. Określonego dnia, o określonej porze, w różnych częściach kraju spotykają się miłośnicy poezji i czytają utwory wybranego autora. 17 czerwca br. mijała 33. rocznica śmierci **Mirona Białoszewskiego** (1922-1983) i był to powód do spotkania się w Przelewicach z jego twórczością. Miron Białoszewski, poeta,



prozaik, dramaturg, autor tekstów piosenek (np. słynnej „Karuzeli z Madonnami” w wyk. E. Demarczyk) i utworów dla dzieci. Założyciel eksperymentalnego Teatru na Tarczyńskiej, później Teatru Osobnego. Przy stole w pałacowej kawiarni usiedli: Beata, Kryśka, Marzena, Jola, Marek, Adam, Marysia, Tomek, Danko, Janina, Ania i Ewa, czyli Ja. Mistrzem ceremonii była Jola Karasińska, która przygotowała informację o poecie oraz wiersze przeznaczone do czytania.

Teatr w Dniach Gorzowa '2016

2 lipca na rynku Starego Miasta miało miejsce ważne wydanie. Mimo deszczu podczas przygotowania, reżyserzy spektaklu „Bal w operze” wg J. Tuwima (granego z powodzeniem od kilku miesięcy w gorzowskim teatrze), Lech Raczak i Daria Anfelii, postanowili przenieść go na rynek naszego miasta. Tuwim w tym utworze piętnuje zachowania elit dwudziestolecia międzywojennego. Akcja rozgrywa się jednocześnie w operze oraz na ulicach miasta i okolic. Na naszym rynku prawie wszystko było jak na scenie, prawie... Bo tu był inny kontekst. Obok przejeżdżające samochody i tramwaje, przypadkowi przechodnie... Wszystko to zagrało w tym spektaklu. Dyrektor teatru, Jan Tomaszewicz, powiedział: „Jeszcze nigdy w dziejach tego przedstawienia nie było ono grane na ulicy”. A widownia? Nie było tłoku, ale widzowie znakomicie przyjęli to oryginalnie zaprezentowane przedstawienie. W następnym dniu, 3 lipca, spektakl Teatru Ósmego Dnia z Poznania „Summit 2.0” jakby nawiązywał do Tuwimowskiego „Balu”. Było to monumentalne, niezwykle plastyczne przedstawienie aktorskie, wykorzystujące ruchome obiekty oraz spektakularne projekcje video. To spektakl ukazujący władców świata, celebrytów, którzy sypią złotym deszczem, lśnią i bawią się kosztem ludzi – są wyalienowani z rzeczywistości – ale decydują o ich losach. Takiemu światu przeciwstawia się świat nowych pokoleń. Przed laty Lech Raczak, wspólnie z Tomaszem Szymańskim, założył ten alternatywny teatr, wtedy pod nazwą Studencki Teatr Poezji Ósmego Dnia.

„FurmanKa w drodze”

Jest to cykl spotkań z poetami i prozaikami w ramach Festiwalu „FurmanKa”. Inauguracja kolejnego, przyszłorocznego festiwalu odbyła się 15 czerwca. Na zaproszenie dwóch pań: Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk i Beaty Patrycji Klary gościła w gorzowskim Klubie „Jedynka” **Sabina Waszut**, autorka „Rozdroża” i „W obcym domu”. 21 września w tym samym cyklu przyjechał z Poznania **Jerzy B. Zimny** – autor powieści „Gromnica”.



Dyskusyjne Kluby Książki

Spotkania odbywają się raz w miesiącu chyba we wszystkich filiach WiMBP na terenie miasta. W Wypożyczalni Głównej WiMBP takie spotkanie odbyło się 30 czerwca i dyskutowano o książce Paulliny Simons „Bellagrand”. Na kolejnym, 29 września, tematem rozmów była „Mała zagłada” Anny Janko.

Slam poetycki

W dniu 9 lipca br. w Klubie „Jedynka” odbył się trzeci slam poetycki, w którym udział wzięło dziewięciu poetów. Głosami widzów tytuł laureata zdobyła **Klaudia Miler**, a II miejsce **Marek Stachowiak**. Konkurs zorganizowali i przeprowadzili **Romek Franczyk** i **Claudia Michalski** z Poznania.

Barlinek Lubi Teatr

Pod takim tytułem w dniach 4-7 sierpnia br. odbyło się, wznowione po przerwie, Barlineckie Lato Teatralne. Przez kilka dni w tzw. przestrzeni miejskiej zrobiło się bardziej kolorowo... Goszczące w Barlinku grupy teatralne przedstawiały swoje teatralne, i nie tylko, propozycje. W imprezie udział wzięli: teatr „Kana” ze Szczecina, który wystawił dwa spektakle: „Projekt – Matka” i „Lajlonia”, teatr „Uhuru” z Gryfina z monodramem w wyk. Patryka Kowalczyka „Na chwilę przed końcem”, Pracownia Teatru Tańca z Zielonej Góry ze spektaklami „Shells”, „# 4” i „Ptacy”, a teatr „Kod” z Dębna pokazał aż cztery przedstawienia: „Mama”, „Smycz”, „Instrukcja obsługi” i „Cygan”. Gospodarz BLT, obchodzący 35-lecie swojej działalności Teatr „Wiatrak” z Barlinka, którym od początku kieruje Ela Chudzik. Pokazał on „Końskie nazwisko”, spektakl oparty na humoresce A. Czechowa.

Wzruszający był recital Eli Kuczyńskiej pt. „Dla Romy – Wpadnij do mnie”. Recital odbył się w specjalnym miejscu, związanym kiedyś z Romaną Kaszczyz, w Młynie/Papierni. Na ten koncert Ela wybrała bardzo nastrojowe piosenki i wiersze autorstwa Romany. Była to swoista podróż przez życie tej niezastąpionej artystki – Barlineckiej Romy.

Barlineckie Lato to także różne inne działania, w których udział brali także Waldemar Rychły z zespołem z Poznania, ABS i Klub Komedii oraz Dyzmatronik z Zielonej Góry.

Organizatorem Lata było Stowarzyszenie „Plantacja Wyobraźni – Mały Dom Kultury” i Teatr „Wiatrak”, przy wsparciu wielu przyjaciół i sponsorów.



niebem Paryża”, a w dniu następnym, 26 czerwca, po raz enty przed gorzowską publicznością koncertowała nasza ponad 50-letnia Gorzowska Orkiestra Dęta pod batutą Bolesława Malickiego i Anny Wiśniewskiej. 2 lipca zaproponowano spektakl „Diwa” ze Stowarzyszenia Teatr Żelazny w Katowicach, pokazujący z humorem perypetie dwóch aktorek, matki i córki, które są nominowane do tej samej nagrody... I co z tego wynika. W niedzielę natomiast odbył się recital „Gori, gori moja wiedza i inne mieszczkańskie romanse rosyjskie” w międzynarodowej obsadzie, z wykonawcami z tzw. wysokiej półki i z solistą-księdzem. Na kolejny piątek zaproponowano bardzo poprawny i sympatyczny koncert pt. „Mój film” w wyk. Piotra Polka z zespołem. W dniu następnym tłumnie przybyła publiczność uczestniczyła w programie kabaretu Melonik i Szminka „Podpierajmy się” w wykonaniu tuzów polskiego kabaretu: Tadeusza Rossa, Jacka Fedorowicza i Czesława Majewskiego. Obok nich udział wzięli Olga Borys i Zbigniew Lesień. W kolejną sobotę zaprezentował się gorzowianin od lat pracujący w Teatrze Maska w Jeleniej Górze,

kiedyś uczestnik także SMAK-u w Myśliborzu, Krzysztof Rogacewicz, z monodramem „Kontrabasista”. Jak napisano w folderze: „Trzeba mieć odwagę i pomysł aktorski na siebie, aby na scenie mierzyć się z trudną formą monodramu...”



W kolejnym dniu, w niedzielę, bawił publiczność Czesław Jakubiec Comedy w żartobliwym spektaklu „Muzyka żartem śpiewana”. Przybliżając publiczności „koturnową” muzykę klasyczną... czyli poważną. A 23 lipca Teatr im. Cypriana K. Norwida z Jeleniej Góry zaproponował „Audiencję III, czyli Raj Eskimosów”

B. Schaefera, w wykonaniu Renaty Pałys i Macieja Tomaszewskiego. Sztuka składająca się z wielu błyskotliwych dialogów... I ponownie tłumnie było na recitalu Piotra Machalicy, no bo i aktor z najwyższej półki, i pieśni dwóch wybitnych bardów: Georgesa Brassensa i Bułata Okudźawy. Ja tak sobie myślę, że publiczność czeka właśnie na tych wielkich...



SCENA LETNIA XIV Gorzowski Festiwal Teatrów Ogródkowych

Od 14 lat w lipcu spotykamy się co tydzień, czasem walcząc o miejsca, na Scenie Letniej teatru. W tym roku Festiwal trwał od 25 czerwca do 31 lipca.

Swoje „piątki” mają dzieci, bo o godz. 12.00 wystawiane są różne bajeczki. Na początek zobaczyły spektakl pt. „Wierszyki-Wybryki”, czyli „Ptasie radio gra dla małych, większych i największych wielbicieli dobrej zabawy”. Sztukę, w adaptacji i reżyserii Cezarego Żołyńskiego, z muzyką Marka Zalewskiego, zagrali aktorzy Teatru Osterwy. W następny piątek odbył się spektakl pt. „Złota kaczka”, wystawiony przez Teatr Rozrywki Trójkąt z Zielonej Góry. Potem były „Koty trzy” z Teatru Art. Event Maciej Nogieć z Katowic. A 22 lipca Teatr Władca Lalek ze Słupska wystawił spektakl „Chatka Zajączka”. I na zakończenie tej zabawy dzieci zobaczyły „Gafy czarownicy Fafy” z Agencji Artystycznej Bajlandia z Warszawy.

Dorośli, jak zwykle tłumnie, przybywali czasem o godzinę wcześniej na spektakle w soboty i niedziele o 20.30. Na początek zaproponowano rodzimy spektakl muzyczny „Pod



30 lipca w muzycznej gawędzie „Powitania, pożegnania” Andrzej Lajborek z Poznania niejako kończył tegoroczny cykl na Scenie Letniej. Śpiewał m.in. mniej znane pieśni Bułata Okudźawy i Włodzimierza Wysockiego. Tegoroczną Scenę zakończył występ aktorów ZASP, którzy po raz drugi w Gorzowie mieli swój zlot. Wystąpiło 15 wykonawców, a wśród nich pięknie zaistnieli: Anna Łaniewska i Cezary Żołyński z Gorzowa. Były w tym spektaklu „perełki”. Bardzo przekonująco wypadła aktorka teatru z Zielonej Góry w scenie z „Matki” Witkacego. Podobał się Zbigniew Waleryś (filmowy mąż Papuszy) w scenie „Ja jestem Żyd z Wesela”. Koncert zakończyła Anna Łaniewska.

Przed rozpoczęciem ostatniego spektaklu na Scenie Letniej w tym roku wszystkim sponsorom oraz widzom gorąco podziękował gospodarz, dyr. Teatru Jan Tomaszewicz.

Wstęp na wszystkie spektakle był bezpłatny. Zadanie zostało dofinansowane z budżetu miasta Gorzowa.

I ja tam byłam....

Ewa Rutkowska



NIESTETY – CIĄG DALSZY

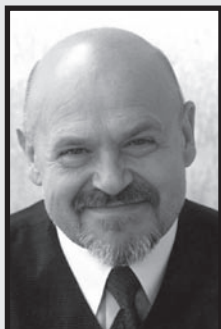
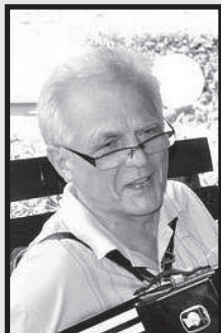
W ostatnich miesiącach pożegnaliśmy ważne dla środowiska polskiej kultury osoby. Odeszła artystka-plastyk, ceramiczka, Romana Kaszycz. Na niebieskie połoniny odszedł także Eugeniusz Wiczorek, pomysłodawca konkursu Literackiego im. Z. Morawskiego, długoletni kierownik Klubu Myśli Twórczej „Lamus”. W lipcu pożegnaliśmy poetę i eseistę, członka ZLP, księdza Marka Grewlinga (więcej na s. 1-5), a 29 sierpnia muzyka i znakomitego pedagoga, Zbigniewa Bociana, twórcę nagradzanego zespołu wokalnego „Klaster” specjalizującego się w muzyce gospel oraz w latach ostatnich chóru „Uniwerek” na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

Środowisko twórcze Pomorza Środkowego pożegnało we wrześniu Ryszarda Ulickiego (73), wspaniałego pisarza, poetę, tekściarza. Był posłem, wiceprezesem ZG ZLP, członkiem ZAIKS-u, współtwórcą z żoną Marią i redaktorem koszalińskiego czasopisma literackiego „Miesięcznik”. Pozostawił po sobie około 800 tekstów piosenek (m.in. „Kolorowe jarmarki”), kilkadziesiąt widowisk, około 50 rzeźb, a także powieści, wiersze, sztuki teatralne, musical, a nawet bajki dla dzieci. Był także przyjacielem Romów, autorem wielu tekstów ich pieśni. Wiele z nich wykonuje Don Wasyl.

Osobistą tragedię przeżyła gorzowska pisarka Łucja Fornalczyk-Fice. Na posterunku pracy zmarł nagle 14 sierpnia jej mąż, Ryszard...

Tak wiele żalu...

Ewa Rutkowska



CHCĄ PUBLIKOWAĆ NASZYCH AUTORÓW!

Po udziale naszych poetów w antologii 45. Warszawskiej Jesieni Poezji „Za trawą – Wszechświat” wiersze gorzowskich autorów publikuje Aleksander Nawrocki (z wzajemnością w „Pegazie”!) w warszawskiej „Poezji Dzisiaj”. Zaproszenie do publikacji gorzowscy twórcy otrzymali wcześniej od gdańskich „Migotań” i ostatnio od redakcji „Krakowskiego Literata”. Oto one:

Redakcja Pegaza Lubuskiego

Szanowni Państwo,
w imieniu redakcji „Literata Krakowskiego” – pisma Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich uprzejmie zapraszam do publikowania w nim tekstów prozatorskich Państwa autorstwa. Jesteśmy zainteresowani opowiadania-
mi, fragmentami powieści, esejami, recenzjami itp. Winny to być teksty raczej nigdzie wcześniej niepublikowane.

Materiały do nowego – 10 numeru „Literata Krakowskiego” proszę przesłać na adres mailowy: oksymoron2@gmail.com do 31 października b.r. Będziemy zaszczytni, jeśli zechcą Państwo gościć na naszych łamach.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
Prezes Krakowskiego Oddziału ZLP

Wiersze na parkowych ławkach

Piszę do państwa w imieniu Stowarzyszenia „Ludzie dla Miasta”. Zainspirowani działaniami w innych miastach, puściliśmy wodze fantazji i zrodził się w naszych głowach pomysł, aby wybrane wiersze gorzowskich poetów zalaminować, a potem przymocować do ławek w gorzowskich parkach. Akcja ma na celu rozpowszechnienie poezji wśród mieszkańców Gorzowa, budowanie tożsamości i przybliżenie gorzowianom oraz promowanie wśród nich rodzimej poezji.

Jeżeli chcieliby Państwo podzielić się z nami i gorzowianami swoją poezją, zwracam się do Państwa z prośbą o przesłanie mi w odpowiedzi dwóch wybranych swoich tekstów, w dowolnej formie (plik tekstowy, zdjęcie, skan etc.) oraz wyrażenie zgody na jednorazowy ich przedruk w celu realizacji pomysłu.

Z pozdrowieniami,
Mateusz Perkowski („Ludzie dla Miasta”)
e-mail.matperkow@gmail.com

Zdzisław Morawski skończyłby 90 lat

Nasz gorzowski ksiądz poetów, którego 25-lecie śmierci będziemy obchodzić za rok w październikowym numerze „Pegaza”, 6 września tego roku skończyłby 90 lat. Oddział ZLP w Gorzowie dysponuje jeszcze pośmiertnym wyborem wierszy Zdzisława pt. „Rzecz o doręczności”. Zainteresowanych prosimy o kontakt na numer prezesa oddziału 501 520 227.

Grzegorz Pełczyński

Jedzenie i sztuka

Na samotnego turystę w obcym mieście czyha mnóstwo niebezpieczeństw. Przekonał się o tym Andrzej, człowiek o zainteresowaniach artystycznych.

Szedł powoli nieznaną sobie ulicą, rozglądając się za restauracją. W pierwszej napotkanej pachniało piwem i kiszoną kapustą, a przy jednym ze stołów kilku podchmielonych mężczyzn dziarsko śpiewało. Andrzejowi nie spodobało się tu, toteż zaraz wyszedł.

Nieopodal była restauracja „Apollo”. Andrzej zatrzymał się przy niej. Na drzwiach widniał intrygujący napis: „Jedzenie przeżyciem artystycznym”. Tutaj postanowił zjeść obiad.

Gdy zajął miejsce przy stole, zjawiła się jakaś kobieta, nie wyglądająca jednak na kelnerkę.

– Upprzedzam, że nasze potrawy są dziełami sztuki awangardowej – powiedziała tonem osoby przekonanej o swojej nieprzeciętności.

– Bardzo się cieszę – uradował się Andrzej.

– W menu... w programie mamy dziś *Changement*.

– To brzmi interesująco.

Kobieta zniknęła i dość długo nie przychodziła.

Wreszcie wróciła, trzymając w jednej ręce sztucę, w drugiej solniczkę. Potem zaczęła solić Andrzeja, co nawet jakoś go wzruszyło. Lecz odrobina soli wpadła mu do oka i wywołała łzawienie. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę.

Wycierając jedno oko, drugim zauważył, że artystka kieruje widelec w stronę jego policzka. W ostatnim momencie uchwycił ją za przegub ręki i w ten sposób udaremnił atak. Ale w drugiej miała ona nóż. Na szczęście on miał refleks, dzięki czemu zdołał szybko wytrącić go z jej dłoni.

– Wszystko pan zepsuł – powiedziała rozżalona. – W *Changement* chciałam pozamieniać role: Kelnerka stałaby się gościem, gość jedzeniem. Niestety pan okazał się prostakiem.

Nie zamierzał z nią w ogóle dyskutować, niezwłocznie więc opuścił dziwną restaurację. Poszedł do tej, w której nie chciał jeść przedtem.

– Poproszę golonkę z chrzanem, ziemniaki i kapustę kiszoną. I duże piwo – złożył zamówienie kelnerce, która przypominała ponętne damy z obrazów Rubensa.

Miłośnik sensacji

Pewnego razu wszedł do małej księgarni przy ulicy Piekarskiej i kupił książkę. Zaczął ją czytać dopiero po kilku dniach. Wtedy wypadł z niej niewielki arkusik zapisany drobnym pismem:

Znalazco tego listu,

właściciel księgarni od dwóch lat więzi mnie w swoim mieszkaniu za sklepem. Błagam o pomoc. Jestem u kresu wytrzymałości.

Grażyna Trzaskowska

Nie zastanawiając się ani chwili, pobiegł do komisariatu policji.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział młody porucznik. – Znamy tego osobnika. To miłośnik sensacji i dlatego umieszcza w sprzedawanych książkach różne liściki, które już parę razy zmusiły nas do wszczęcia niepotrzebnego śledztwa. Ale teraz już nie dajemy się nabierać.

Wracając do domu, był wściekły. Nastawił się przecież na coś zupełnie innego. Spodziewał się, że wskutek jego doniesienia policja wtargnie do mieszkania przy ulicy Piekarskiej i uwolni nieszczęsną Trzaskowską. Że okaże się ona piękną kobietą... A tymczasem został ośmieszony.

Ale w domu się uspokoił. Książka, zakupiona u tego szalonego księgarza, okazała się świetnym kryminałem.

Waldemar Jaworowski

NA NADGORLIWYCH

Na szczycie szklanej góry dziewczę „uwięziono”.

Wyzwoliciele: konno, boso, każdy z bronią

Dzień za dniem giną, tylko, k... po co?

Bo – nie uwierzysz własnym oczom:

Tam pełnię szczęścia ma ona i sytość

horyzont wokół i niebo bez chmury.

– Czy jej potrzebna nasza wątpa wolność

... Spytał się bałwan który?

Waldemar Jaworowski

WNIKLIWA OBSERWACJA
CZASU NA SKRAJU LASU

Cieszę się ciszą soczystą, gładką
zbieram donośne ryki jeleni
brudy po lecie przecieram szmatką
odślaniam czyste barwy jesieni

Przewlekłe milczysz, mimo że nie śpię
za oknem łzawa głęboka cisza
zegar z kukułką wciąż tyka jeszcze
choć już mu smętnie wahadło zwisa



Czasopismo
literackie pod
auspicjami
WiMBP i ZO ZLP
w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227. Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Marek Grewling, Barbara Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska. Grafika i rysunki: Zbigniew Olchowik. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Iga Borowska-Krajnik (ZNTF), Jacek Buczyński, Beata P. Klary, Kazimierz Ligocki, Ewa Kunicka, Marzena Maćkała, I.K. Szmidt oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP, ul. J.D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., email: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

KTO RZĄDZI ŚWIATEM?

Po latach rozmyślań,
niemal u schyłku życia,
dokonałem niezmiernie
głębokiego odkrycia.

Moje wielkie odkrycie
raz na zawsze, niezbitcie
rozwiązuje odwieczną
zagadkę, mianowicie,

rozstrzyga nieomylnie,
ustala niezachwianie
ostateczną odpowiedź
na ciekawe pytanie,

co dręczy nas od wieków
i wciąż wraca od nowa:
Kto rządzi światem? Jaka
mafia anonimowa?

Nie wierzcie w bajki. Nie ma
żadnego Synhedronu,
sekretnych władców nie ma.
Nie ma „Mędrców Syjonu”.

Nie my, tj. nie oni.
Nie Żydzi i nie masoni,
nie mormoni, nie kwakrzy
nie fabrykanci broni.

Nie junkrzy, nie sztabowi
wojskowi kondotierzy,
nie monopole, kartele,
bankierzy ni bukmacherzy,

nie związki zawodowe,
nie standard oil, nie Watykan,
nie internacjonalka
kalwinów czy anglikan,

nie międzynarodówka
komuny, czy „kapitału” –
Ktoś inny. Kto? – pytacie.
Zaraz, ludzie, pomału.

Gotowiście na wszystko?
Ha, dobrze, jam też gotów.
Słuchajcie: światem rządzi
wielka zmowa idiotów.

Światem rządzi sekretna
międzynarodówka
agresywnego durnia
i nadętego półgłówka.

Trade union grafomanów,
tajna loża bęcwałów,
klub ćwierćinteligentów,
konfederacja cymbałów,

areopag jełopów,
jałowych namaszceńców,
pompatycznych waźniaków,
indycznych napuszeńców.

To oni, sprzymierzeni
w powszechnym związku, który
rozstrzyga o powodzeniu
teatru, literatury,

gramofonowej płyty,
filmu, obrazu, symfonii.
To oni decydują
o kulturze, to oni.

Przydzielają posady,
stypendia, nagrody, szanse,
ordery, prenumeracje,
bonusy i awanse.

Samym instynktem głupoty
odnajdują się wzajem.
Rozumieją się wspólnym
językiem i obyczajem.

I hasłem, które woła
z ochotą raźną i rączę:
„kretyni wszystkich krajów
łączcie się!” – Więc się łączą.

Przeciw wszelkim ambicjom,
przeciw wszystkim talentom,
przeciwko swoim wrogom,
przeciw inteligentom.

To oni – pan generał,
co dziś rozumie bezwiednie,
jak dziś szach mach, wygrać
wszystkie wojny poprzednie.

To cenzor, który skreśla
wszystkie mądre kawały,
tak, aby w rękopisie
same głupie zostały.

To krytyk, co bełkoce,
choć nikt go nie słucha
i czepia się cudzego
pióra, jak wesz kozucha.

Ekonomista, który
kosztem ogólnej nędzy
uzdrowi „wymianę dewiz”
i „pokrycie pieniędzy”.

To polityk, mąż stanu
dyplomata, co wkopie
niewinnych ludzi w Azji,
w Afryce i w Europie

w tak trudne sytuacje,
w tak kręte labirynty,
w tak polityczne kanty,
w dyplomatyczne finty,

że z nich jedyne wyjście
na świat i światło Boże –
przez wojnę, której nikt nie chce,
przez rzeki krwi i morze.

No cóż, oni nas trzymają
w ryzach, za twarz, pod batem.
To ONI – i to jest właśnie
ta mafia, co rządzi światem.

A jaka na nich rada?
Bo czuję, moi mili,
że z dziecięcą ufnością
pytacie mnie w tej chwili,

muszę prawdę powiedzieć,
wbrew ufności dziecięcej:
niestety, nas jest za mało.
Durniów jest znacznie więcej.

My skłóceni, więc słabi.
Durnie zgodni, więc silni.
My się często mylimy.
Durnie są nieomylni.

My sceptycy, zbłąkani
na ziemi i na niebie.
A ONI tak aroganccy
i tacy pewni siebie,

i tacy energiczni,
że serce z trwogi mdleje.
Ach, nie znam żadnej rady.
Mam tylko jedną nadzieję.

Żyję tylko tą drobną
otuchą i nadzieją,
że my umiemy śmiać się.
A durnie nie umieją.

Kto wie... może po wiekach,
kto wie... może w oddali,
to jedno przed durniami
obroni nas i ocali.

Tym śmiechem was zasłonię
i do serca przygarnę.
I może nie pójdziemy
ze wszystkim na he... marne.

1961

Marian Hemar (1901-1972) – wspaniały polski poeta, satyryk, komediopisarz, dramaturg, tłumacz poezji, autor tekstów ponad dwóch tysięcy piosenek, m.in. takich szlagierów, jak: *Kiedy znów zakwitną białe bzy*, *Czy pani Marta jest grzechu warta*, *Ten wąsik*, *Nikt, tylko ty*, *Upić się warto...*